



NIEZNANY POEMAT POLSKI

Z WIEKU XVII.

W zbiorze rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej (123 Bbb. I, 51) znajduje się duża księga in 4-o, w osłą skórę oprawna, obejmująca poemat w 12 pieśniach o słynnej obronie jasnogórskiego klasztoru w r. 1655.

Na pierwszej stronie okładki, ręką już z dziewiętnastego wieku, napisany tytuł poematu „Obłężenie Jasnej Góry Częstochowskiej,” poniżej tą samą ręką: „cf. Baliński „Pielgrzymka do Częstochowy“ str. 405 i n.“ Na drugiej, wewnętrznej stronie okładki pismem innym, prawdopodobnie jeszcze z XVII w. pochodzącym, imię i nazwisko (zapewne jakiegoś właściciela rękopisu) „Karol Gostokowski,” a poniżej sygnatura jakaś: XII, potem: cena... (wytarte) złp.

Rękopis zachowany doskonale, pisany pismem starannem, wyrazistym, jednolitem — jest ostateczną tego poematu redakcją, przeznaczoną już wprost do druku i to przez samego autora. W samym tekście brak tytułowej karty, dla nas może najważniejszej (bo tu pewnie widniało nazwisko autora i dokładniejsza data ukończenia utworu), oraz trzech innych kart tekstu, t. zn. jednej z samego początku pieśni 4-ej i 2 kart z końca ostatniej pieśni. Wspomina też autor o „rekollekcyach,” które się miały znajdować na samym końcu rękopisu — tych również brak zupełny. Między pieśniami były karty czyste, tekstem nie objęte i te są przeważnie wydarte. W rękopisie strony nie są liczbowane, natomiast zwrotki poszczególnych pieśni oznaczane według bieżących liczb. Na tej też podstawie można oznaczyć ilość brakujących kart tekstu.

8043

Rękopis był pierwotnie własnością klasztoru paulinów na Skałce. Dowodem — starty napis tuż obok pierwszej strofy początkowej pieśni i takiż sam napis, zupełnie wyraźny, a ręką jeszcze z XVII w. prawdopodobnie pisany na samym końcu pieśni dziewiętej: „Sum Conventus Rupellani ad Aedes S. Stanislai Eppi Martyris.“ Jaką drogą dostał się ten rękopis do zbiorów Bibl. Jag.—niewiadomo.

Dotychczasowe wiadomości o tym ciekawym tak treścią, jak i formą poemacie szczupłe są bardzo, niedostateczne i niedokładne. Pierwszą znajdujemy w „Pielgrzymce do Jasnej Góry,“ wydanej z rękopisu przez Michała Balińskiego, Warszawa, 1846. W „Przypiskach i dodatkach do części drugiej“ umieszczono tu zaraz na początku: „Wiadomość o poemacie XVII wieku, opiewającym „Obleżenie Jasnej Góry Częstochowskiej,“ dotąd nie drukowanym“¹⁾.

Większą część tej „Wiadomości“ zajmują cytaty²⁾ i to niezbyt szczęśliwie dobrane; o niemałych zaletach poematu trudno z nich powziąć jakieś wyobrażenie. Ocena estetyczna również wcale powierzchowna i zbyt surowa. Przytoczę główny, początkowy ustęp tej „Wiadomości“ Balińskiego:

„Poemat ten w 12 pieśniach, z których każda ma sto kilkadziesiąt strof sześciowerszowych, jest niewątpliwie utworem końca XVII w. Jego rym jedenastozgłoskowy, wierszowanie, postać i barwa całego dzieła, wszystko niewątpliwie świadczy o czasie jego napisania. Przypisują go napróżno Puławskiemu, wszakże z pewnością nie możemy wiedzieć, kto był jego autorem. Jest to rodzaj epeji historycznej, w której poeta zamierzył opisać głośne owe obleżenie Jasnej Góry przez wojska szwedzkie pod dowództwem Millera w r. 1655. Za podstawę całego dzieła obrał sobie opowiadanie tego wypadku z taką prostotą przez samegoż bohatera Kordeckiego w Gigantomachii zostawione. Korzystając zaś ze strony dramatycznej, jaką mu niektóre zdarzenia prawdziwe i podania nadnaturalne nastreczyły, wprowadził miłość, nieumiejąc jednak zwiazać wszystkiego z talentem prawdziwym.“

Podaje też Baliński bardzo pobieżną treść poematu, wreszcie konkluduje: „W całym utworze nie widać talentu, ale nie brak

¹⁾ Str. 405—425.

²⁾ Pieśń I, zwrotka 1—11; II, zwr. 61—64, 68—74, 78, 80, 81, 83, 89, 95—96, 98—102; następne dopiero VIII, 1—5; XI, 92—95, 187—192, 224—226; razem zwrotek niespełna 52.

imaginacyi, a nawet niekiedy natchnienia i dość szczęśliwych wyrażań.“

Może w dalszym ciągu przekonamy się jednak, że sąd Balińskiego zbyt był surowy, że poza przytoczonymi przez niego ustępami były inne, bardziej interesujące, piękniejsze, które mogą nam posłużyć za „kamień świadectwa“ poetyckiego talentu autora, wreszcie, że choć w przybliżeniu, ale z pewnem prawdopodobieństwem oznaczyć też można autora i czas napisania utworu ściślej, niż go oznaczył Baliński.

Drugą wzmiankę znajdujemy oczywiście w „Dziejach lit. pol.“ Brücknera.¹⁾ Odsłania on wybitną cechę poematu, której Baliński wcale nie dostrzegł, a mianowicie jego zależność wielką od „Gofreda“ Tassa-Kochanowskiego. Mówi więc Brückner tak: Inwencye Gofreda naśladował wiernie autor (znowu nieznany) „Oblężenia Jasnej Góry Częstochowskiej,“ poematu w 20 pieśniach,²⁾ zupełnie do druku przygotowanego (nawet z „rączkami“ dla wskazywania różnicy między historią a wymysłami romantycznymi), mimo to jednak nie ogłoszonego. Bardzo to ciekawa próba przeniesienia żywca w polską rzeczywistość siedemnastego wieku całej tassowskiej tkanki miłości i zazdrości, zdrad i czarów, walk i ucieczek—romans całkiem jakby „Potop,“ tylko bez Zagłoby.³⁾

Pierwszy więc Brückner odkrywa trafnie w poemacie próbę polskiego „Gofreda,“ tego „Gofreda,“ który w XVII w. tak był ogólnie znany, tak skwapliwie czytany, choć przez wielu nierozumiany w całej swej artystycznej piękności.

Jednak stosunkowo najlepszem dotąd źródłem wiadomości o „Oblężeniu Jasnej Góry“ jest rozprawa napisana—zadziwi to niejednego, ale u nas wielu rzeczom nie trzeba się dziwić—przez Szweda i po szwedzku. Szwed, Alfred Jensen, co polskich poetów na szwedzki język przekładał,⁴⁾ po polsku również piszący,⁵⁾ był jednym z tych bardzo nielicznych badaczy, którychby można

¹⁾ Brückner: Dzieje literatury polskiej w zarysie. Wyd. 29. T. I, str. 306.

²⁾ W istocie tylko 12.

³⁾ Więckowski („Die romanischen Einflüsse in der poln. Literatur“), mówiąc o „Oblężeniu Jasnej Góry,“ streszcza jeno słowa Brücknera, str. 43. Podobnie Biegeleisen „Dzieje lit. pol.,” IV, str. 98.

⁴⁾ Alfred Jensen: Polska skaldier. Göteborg, 1906. 4 tomy.

⁵⁾ Alfred Jensen: „Polonica w szwedzkiej literaturze.“ Pam. liter., 1910. Wspomina tu też o „Oblężeniu J. G.,” ale bardzo ogólnikowo, nie wymieniając nawet tytułu poematu.

zapewne na palcach jednej ręki policzyć, co rękopis nasz w całej jego rozciągłości czytali, a i między tymi on — Szwed — według wszelkiego prawdopodobieństwa najuważniej go czytał i bezsprzecznie najwięcej dotychczas o nim powiedział. Cenne jego spostrzeżenia mieszczą się w ciekawej rozprawie: „Obrazy szwedzkie w literaturze polskiej“¹⁾, znanej wprawdzie, ale zbyt powierzchownie ze streszczenia w polskim języku²⁾. W rozprawie swej poświęcił Jensen naszemu poematowi parę stron (93—100), podając w większej ich części treść niektórych epizodów oraz kilka bardzo ważnych dla nas uwag, które w odnośnych miejscach tego referatu po polsku przytoczę³⁾. Jak dotąd, rozprawa Jensena dla ogólnej niemal u nas nieznanomości szwedzkiego języka pozostaje wciąż bliżej nieznaną, a poemat spoczywa dalej w zapomnieniu i kurzu bibliotecznym.

Słowem, wiedzieliśmy dotychczas o „Obleżeniu Jasnej Góry“ mniej, niżby się tej próbie polskiego „Gofreda“ słusznie należało, choćby ze względu na to, że jest najwybitniejszą dotąd taką próbą, że wśród rzeszy rymowanych kronik XVII w. zajmuje poniekąd odrębne miejsce, może nawet pierwszorzędne. Rozmiarami (12 pieśni, 2,089 strof sześciowerszowych, wierszy 12,534, z tego brak 11-tu pierwszych strof IV pieśni i 24-ech przy końcu ostatniej⁴⁾), a więc zachowanych wierszy 12,324) góruje nasz poemat nad „Legacją“ i „Władysławem IV“ Twardowskiego oraz nad „Wojną Chocińską“ Potockiego. Formą chciał widocznie autor zupełnie naśladować „Gofreda“, a więc na wstępie każdej pieśni umieścić „argumenta“, a potem w jedenastozgłoskowcach, „przeplatanem ósmiorakiem rymem, jakim Włoszy, Hiszpani i insze narody polorowańsze swoje Heroika piszą“—napisać swoje poema, w treści przez historyczną osnowę przewlec barwną nić romansowych historii i stworzyć całość wykończoną, dla każdego czytelnika zajmującą i budującą, w ogólnem wrażeniu podniosłą i w guście współczesnych piękną. Miejsce satyrycznych dygresyi, wplata-

1) „Svenska bilder i polska vitterheten. Nagra auteckningar af Alfred Jensen.“ Stockholm. Isaac Marcus' Boktr. Akticbolag, 1904, str. 171.

2) Benzelstjerna-Eugeström Wawrzyniec: „Alfred Jensen. Obrazy szwedzkie w literaturze polskiej.“ Referat. Poznań. W druk. Dzień. Pozn. 1907, str. 91.

3) Korzystam w tem z łaskawego pośrednictwa Czcigodnego Autora.

4) Jensen tak podaje rozmiary rękopisu: „178 kart (wydarte jeno dwie lub trzy karty z początku 2-iej pieśni), 12 pieśni, 12,504 jedenastozgłoskowych, rymowanych parami wierszy, które się składają na 2,084 zwrotek“ (Op. cit. str. 94). Ja stwierdziłem istnienie tylko 176 kart, w czem dwie karty wstępu.

nych w poemata XVII w., miały tu zastąpić romantyczne historye, pełne fantazyi, niezwykłych sytuacji—słowem, hojnie roztozczony koloryt bajeczny, egzotyczny, tak przez współczesnych czytelników ulubiony.

Ale autorowi naszemu widocznie „przytrudniejszą“ okazała się forma oktawy, więc użył zwrotek sześciowerszowych, rymował parami (aa — bb — cc) i w ramach tej formy wierszowej czuł się wcale swobodny, nie krępował go zbyt jednoznacznie jedenastozgłoskowiec, częsty w naszej poezji XVII w.

Aspiracye autora, ogólną tendencyę utworu, jego „dwoisty“ charakter, jaki i Tassa „Jerozolima“ na sobie nosi, to znaczy historyczno-romansowy—poznajemy już choćby z przedmowy autora „Do Czytelnika.“ Interesująca jest ona z niejednego względu. W ciekawy sposób usprawiedliwia się w niej autor, dlaczego historyczną treść romantycznemi historyami przeplatał i w charakterystyczny sposób przestrzega krewkiego czytelnika, by, broń Boże, zbyt ziemską treścią niektórych ustępów się nie przejmował, ale oczy od przemijających rzeczy do niebieskich obracał. Z przedmowy tej można też nabrać wyobrażenia o starannej redakcyi utworu, z „sentencyjkami“ na boku, „pobożnemi“ myślami na „marynesach.“ Wspomina tu również autor o jakichś „rekollekcyach,“ które miały się znajdować na końcu poematu — tych nie znajdujemy; zapewne ostatnie kartki z temi „rekollekcyami“ wydarto.

Godną przytoczenia jest ta przedmowa przynajmniej w ważniejszych ustępach. Powiada tam autor o poemacie swoim:

„...dwa tu sposoby w Obleżeniu Jasnej Góry obaczysz, jeden — jako nieprzyjaciel przez szturny klasztoru dobyć usiłuje, drugi — jako namowami przez poddanie otrzymać się go spodziewa; ponieważ się ten czas tych dwóch sposobów aż do uprzykrzenia (tak Szwedzi klasztorowi uprzykrzeni byli) ciągnie, tedy umyśliłem częścią między pomienione szturmy, częścią między namowy według licencye poetyckiej wprowadzić Poemata dlatego, jeśliby komu ustawiczość jedneje materyej uprzykrzać się miała, żeby wmieszonym poniekąd między prawdę konceptem do dalszego zachęcił się czytania. Jednak iż pod ten czas niebezpieczny Pan Najwyższy cudownie tego klasztoru bronić raczył i Przenajświętsza Panna, jako Pani tego miejsca cudownego, prawdziwie się na murach widzieć dała, co sami Szwedzi potym po obleżeniu przyznawali, którzy także i sędziwą osobę tamże na murach widywali, — tedy dlatego, aby zaś prawdziwe wszechmocne cuda Boskie między poetyckie nie były poczytane Poemata, taką

uczyniłem w pracy swojej dystynkcyą. Tam gdzie cud prawdziwy opisuję, zaraz Auctoritatem A. R. P. Augustini Kordecii Prioris Conventus Clari Montis Częstochoviensis, który tę walkę niezbożnych Gigantów szwedzkich bona fide conscripstitis — kładę i sens samej prawdziwej historyej stojącym z łańciskiego charakteru drukiem notuję; tam zaś, gdzie Poemata wprowadzam, mniejszym polskim drukiem na marginesach sentencyjki ku rzeczy potrzebne terminuję, rączkę do tego przydaję, żeby nową pokazała inwencyą. A ponieważ każdemu dobrze wiadomo jest, że mądrzy i pobożni ludzie, gdy co czytają, samę pracę w czytaniu uważają i pożytku w niej szukają a afektom z niej pochodzącym nad sobą panować nie dopuszczają, — ludzie zaś świata przylegli albo młodziakowie nie tak prace szacują, jako w niej podobania, którymby się cieszyli, szukają, — przeto dla takich jeśli tu co według świata udał albo w miękkie ubrał słowa, tedy żebym ich od marności świeckich odwabił i przyczyną, strzeż Panie Boże, do zgorzenia nie był, osobliwy im pokazuję na marginesach pochop do myśli pobożnych, aby oczy od przemijających rzeczy do niebieskich obracali, odwoływać się przytym do różnych rekolekcyi, które na samym końcu tego Jasnej Góry oblężenia kładę.“

Zwracam uwagę na prozę naszego autora czystą, od makaronizmów wolną; okresy czasem nadmiernie długie, jak np. powyższy, a jednak wcale płynne, niezawite. Co do treści przedmowy podkreślić należy ascetyczne tendencye autora. Z obawą redagował ostatecznie swój rękopis, z niepokojem przeczuwał, że czytelnika właśnie to, co on „według świata udał“ i „w miękkie ubrał słowa“ — najbardziej zajmie i najbardziej mu się spodoba. To też jeszcze raz w końcu przedmowy o pamięć rzeczy niebieskich go prosił:

„Ciebie też, łaskawy Czytelniku, o to gorąco upraszam, że gdy tu białogłowskie przeciwko oblubieńcom swoim będziesz czytał afekty, abyś nie tego się, co jest w nich ganić, chwycił, ale to co ich od nagany odwodzi do serca przyjmował, które, jeśli by nieostroźnie współnęło, obróć je do Boskiej miłości myśląc sobie, iż nad wszystkie stworzone i wymyślone rzeczy tego, co wszystko stworzył—kochać mamy, gdyż jest nad wszystkie stworzenia najpiękniejszy, najwdzięczniejszy i najdoskonalszy, święty, mocny i nieśmiertelny. Tę zatem rozświeciwszy miłości Boskiej do czytania w sercu twoim, łaskawy Czytelniku, pochodnią—zdrów bądź, a mnie z nieudolnością moją w łasce swej chowaj.“

Następuje „Ordo Pieśni albo książek po sobie idących,“ gdzie autor początkowe słowa wszystkich pieśni przytacza.

Wreszcie ciekawy ustęp:

„Drukarzowi trzeba będzie dać informacją mianowicie w tym, aby rączek niekładał jeno tam, kędym ja je położył, żeby zaś nie powaryjował indicem distinctionis inter veram historiam et inter poeticas inventiones—przeto gdzie jest sens prawdziwy Historyej ma kłaść na marynesach druk z łacińskiego charakteru stojący, a gdzie się kładą Poenata—ma także na marynesach rączkę kłaść i druk mniejszy polski.

„Argumenta będzie trzeba do każdej księgi popisać.“

*

*

*

Pobożny a skrupulatny autor widocznie dobrze sobie zdawał sprawę z niedostatków i wad swoich poprzedników w drodze po stromych ścieżkach Parnasu, odczuwał znużenie czytelnika „Wojny domowej,“ „Władysława IV“ lub podobnych rymowanych kronik, gdzie trzeba było czytającemu podążać za autorem krok w krok, przechodzić dzień za dniem, nieraz zupełnie do poprzedniego podobnym. Ciągnęły tam na kresy Rzpltej jakby wciąż te same chorągwie rycerstwa, jakby tym samym zawsze szlakiem—wyglądając końca uciążliwego pochodu i walnej jakiej bitwy, by raz wreszcie rozprawić się ostatecznie z naprzykrzonym wrogiem, przed którym wciąż trzeba było się drobnymi utarczkami opędać. Zapał, zrazu tak gorący, słabnie zwolna, pomruki już nawet po obozie słyhać coraz groźniejsze. A siwy wódz w poczuciu zbyt wielkiej odpowiedzialności przed Ojczyzną i przyszłością bezsennie spędza długie noce, w Boską jeno pomoc jeszcze ufa i w słusność dobrej sprawy. Tylko poszanowanie dla wodza-bohatera przygłusza jeszcze zuchwałe głosy, co o hańbie ucieczki już syczą—dla nich przed Ojczyzną prywatą, przed posłuszeństwem swemu wodzowi krzykliwa buta i pycha bez miary. Wreszcie upragniona bitwa,—a przed nią krótka, gorąca przemowa wodza-męczennika, co uśpione serca wstrząsa, skorupę zgnilizny z nich zdziera i lwy budzi w rycerstwie odwieczne, grunwaldzkie. Zwycięstwo—lecz zwykle niewyzyskane, i mimo, że potoki krwi walecznych płyną—kurczą się granice Rzeczypospolitej. A czasem znów zło tak się w duszach rozwieli, że wprost już granic nie zna, nad poddanymi sroży się bezwzględnie, na

wodzów, choćby jako śnieg czystych, nieposzlakowanych, oszczerstwem bluzga i na ich harde dusze kładzie krzyże męki. Żółkiewskich, Chodkiewiczów — mało; Radziejowskich, Opalińskich, Stadnickich — coraz więcej.

I tak wciąż, jakby w zaklętym kole. Nie chcą już czy w przyszłość patrzeć, bo Skargi przerażonemi oczyma patrzećby musiały. Czasem się z głębi duszy dobędzie krzyk rozpaczny, ale i ten przeleci niesłyszany — ot „pies szczeka, wiatr niesie,“ przygłusza go ochryple, rozszalałe „veto!“, „precz z różnowiercami!“ lub uparte, zaślepieniem pijane „nierządem Polska stoi!“

Jakże się tu dziwić, że żółcią wezbrała szlachetna pierś Potockiego, mimo, że świetną opiewał wyprawę, jakże się tu dziwić innym poetom-obywatelom, że na rzeczywistość smutną, bezna dziejnie jednostajną patrząc, niemal jednakiemi słowami malowali te tak do siebie podobne wyprawy, że nieraz bezstronność opowiadania, epicki tok poematu mimowoli im przerywał gorzki uśmiech satyryka-obywatela.

I jak się dziwić, że znaczna większość głosów szlachetnych, myśli zdrowych, obywatelskich kryła się w szarych kartach rękopisów, skoro wydane drukiem wzbudzałyby może szyderski śmiech ogółu lub jego niechęć przez swą prawdę bolesną. To też literatura prawdziwa, narodowa, obywatelska, jaką jest przedewszystkiem polska literatura w swoim historycznym rozwoju — w XVII wieku chowała się niemal zupełnie w rękopisach.

Wśród epizodów historycznych tego wieku należą dzieje oblężenia Jasnej Góry do wyjątkowo jasnych, czystych. Jednolitość duchowa, bohaterstwo prawdziwe, przenikające nieomal wszystkich obrońców, poświęcenie się dla wielkiej sprawy zarazem religijnej i patryotycznej — jednym płomieniem ogarnia wszystkich i giną w jego pożarze odwieczne narodowe wady, oczyszcza się narodowa polska dusza i szlachetnością swych wielkich zalet rozbłyska. Więc już temat sam nie nastęrczał autorowi „Oblężenia Jasnej Góry“ sposobności do jakichś satyrycznych dygresyj, nie mógł więc być jego poemat taką jak inne rymowaną kroniką i nie taką chciał autor w swym utworze widzieć. Suchość opowiadania historycznego dla odmiany romansowemi historyjami przeplatał i by się jego czytelnikowi „ustawiczność jednejże materyej nie uprzykrzyła, wmieszanym między prawdę conceptem do dalszego go zachęcał czytania.“ Ale i on nie powstrzymał wezbranej żółci i gorzką dygresją prawdziwego oburzenia, patryotycznego bólu wybuchnął w pieśni jedenastej i tak wymownie, jak mało który ze współczesnych, ujął się za społeczną krzyw-

dą. Że jednak te ustępy są jakoby mimowolne, od całości zbyt odbiegające, przeto i odrębnie o nich mówić będę.

Szkielet poematu tworzy ściśle historyczna treść, znana ogólnie choćby z Sienkiewiczowskiego „Potopu,” którą autor „Obleżenia” czerpał przede wszystkim z Kordeckiego („Nova Gigantomachia... a R. P. Fr. Augustino Kordecki. Cracoviae in officina viduae et heredum Francisci Cezarii.” Data aprobaty władzy kościelnej 20 X, 1657) i sumiennie odpowiednie miejsca na „marynesie” zaznaczał, następnie z opisu współczesnego historyka Kobierzyckiego („Obsidio Clari Montis Czesłochoviensis etc. Authore Stanislao a Kobierzycko Kobierzycki, palatino Pomeraniae etc. Dantisci. A. 1659,” w 4-ce, kart 7 nlb. i str. 163). Opis ten głównie cudami się zajmuje; dla naszego autora był on zapewne już mniej ważnym źródłem niż powyższe, to też — o ile zauważyłem — raz tylko na świadectwo Kobierzyckiego się powoływał w pieśni ostatniej ¹⁾. Oba te dzieła szczegółowo opisywały przebieg obleżenia, znajdował tam nawet autor dosłownie przytaczane pertraktacje listowne Szwedów z Jasnogórczanami, z których również w całej rozciągłości korzystał. Żadnej ważniejszej wzmianki nie pominął, w treści ściśle się trzymał tekstu swoich źródeł i tekst ten, jak Potocki Sobieskiego Dyaryusz, „ojczystym wierszem ilustrował” ²⁾. Wreszcie czerpał też zapewne i z ustnej tradycji. Źródła te składały się na główny zrąb poematu, na jego osnowę historyczną i ta ubrana w rymy, suchością i nużącą rozwlekłością zupełnie inne rymowane kroniki przypomina, nie odróżnia się od nich ni werwą większą, ani barwnością lub plastyką opowiadania. Tylko tam, gdzie się odezwie gorące, patriotyczne uczucie autora, lub gdzie go prosty, dziecinny wdzięk zachwyci — jest pociągający, serdeczny i zupełnie samodzielny; te ustępy są prawdziwą ozdobą całości i te w odpowiednim miejscu przytoczę. Zresztą szeroko rozwodzi się poeta, gdy przytacza długie przemowy występujących osób (i nie jest też wcale wyjątkiem pod tym względem), lub gdy opisuje walki i pojedynki pod murami klasztoru. Jedyną w tej części poematu różnicą w porównaniu do in-

¹⁾ „in Kobierzycio de Obsidione Clari Montis pag. 151.”

²⁾ Na zależność od „Gigantomachii” wskazuje też Jensen: „Nawet nie zwracając uwagi na wiele wyraźnych, dopisanych na marginesie odsyłaczy do „Gigantomachii” — można się łatwo przekonać, że nieznany autor we wszystkich ważniejszych ustępach czerpał z tego źródła. Pod koniec bierze stanowczo górę dziejopisarski styl Kordeckiego.” Op. cit., str. 94.

nych rymowanych kronik współczesnych, jest wybitniejszy, niż gdzieindziej, wpływ „Gofreda.“ Dlatego też zbyteczną byłoby dłużej się nad tą częścią „Oblężenia“ zatrzymywać.

Świadomość potrzeby swobodnego tworzenia przerwała nużącą „ustawiczność historycznej materiej wmieszanym między prawdę konceptem według licencyj poetyckiej.“ I ta właśnie niehistoryczna, romantyczna część utworu, te „Poemata“, jak je autor zowie, ta nawiązana pod przemożnym wpływem epopei Tassa nić intryg miłosnych, co przez cały ciąg akcji historycznej się snuje, z nią wcale spoiście łączy i zgodnie z intencją autora podnosi artystyczną wartość całości, ożywia ją i zdobi—ta część jest dla nas najciekawszą. Ona pozwala nam lepiej ocenić zdolność autora, jego dar poetyckiej inwencji, bo tu ma on sposobność okazać, jak rozległa jest skala jego tonów, czy subtelniejszym być potrafi w malowaniu uczuć delikatnych, w kreśleniu kobiecych postaci, miłosnych walk i niepokojów, „białogłowskich przeciwko młodzieńcom affektów.“ Tu wzorem autorowi naszemu był znów mistrz Tasso i w jego też stylu tworzył te „poemata“, podobnych przedstawiał kochanków, podobne sytuacje wymyślał i w podobną formę poetycką stroił.¹⁾ I znów sądzę, że i tu zbytecznie zawikłania miłosne przytoczeniem ich treści rozplątywać—chodzi mi tylko narazie o zwrócenie uwagi na piękniejsze i ciekawsze ustępy. Z tym też zamiarem przebiegnę cały poemat, by, o ile można, dać choć ogólnikowy obraz całości.

*

*

*

Zależność od „Gofreda“ wyraźna już choćby ze strof początkowych, tak podobnych do początku epopei Tassa-Kochanowskiego:

Wojnę niezbożną powiem i Tyrana,
Który przeciwko czci Chrystusa Pana

¹⁾ Do „poematów“ należy wszystko, co się odnosi do osób niehistorycznych. Jest to część utworu niehistoryczna, fantastyczna i ta oczywiście nie ma swego źródła w „Gigantomachii“, ale przedewszystkiem w wyobraźni autora i w „Gofredzie.“ Dowodem choćby same wymyślne nazwiska tych osób (Lioba, Lidora; Amir, Ludgierd i t. p.).

Na Jasną Górę gwałtem następował
 W ten czas, gdy Gustaw Sarmaty wojował—
 Pakta zdradziwszy, złamawszy przymierze
 Przeciw przysiędze i przeciwko wierze.

Ty, któraś polską królową została
 I na tej górze pałac zbudowała,
 Panno — wspomóż mię, a przez szafirowe
 Niebo, gdzie gwiazdy świecą empirowe,
 Obróć z wysoka na mnie oczy swoje
 I wlej dar łaski w miałkie piersi moje.

Ty mi przypomnij (siedząc w majestacie
 Z słońca w utkanej promieniami szacie)
 Jako Lucyfer ruszał od północy
 Na ten Twój zamek wszystkiej swojej mocy,
 Jak go chciał zburzyć, zniszczyć i splądrować,
 Z gruntu znieść i cześć Twoją, Panno, zwojować.

Ziemio Sarmacka, któraś pod tą drżała
 Wojną, gdyś na nią skrwawiona patrzyła,
 Tryumfuj z tego, że to miejsce święte
 Od nieprzyjaciół nie mogło być wzięte.

I, 1—4.

Muzą obrał sobie nasz poeta tę „Pannę świętą, co jasnej
 broni Częstochowy“ i co niedawno (Jana Kazimierzowe śluby)
 „polską królową została“; dosłownie niemal, jak Tasso-Kochanow-
 ski, albo w „Dziele boskiem“ Kochowski prosił Ją o dar natchnie-
 nia w swojej poetyckiej pracy.

Nieraz zapewne ból szarpał gorące, polskie serce poety, gdy
 bieżące, smutne wypadki na pamięć mu przywiodły minione złote
 czasy, kiedy to Polska w wieńcu sławy chodziła pyszna, nie strze-
 gąc się wcale coraz nowych grzechów, aż miarę cierpliwości Bo-
 żej przeszły „nieprzebrane złości“ nasze i wreszcie dotknął ją
 Bóg „różowym cierniem boju“ i biczem nieszczęść począł chłostać:

Ach i ty, któraś w pięknej sławie była
 I w Augustowym wieńcu długo żyła,
 Polsko kwitnąca, rzadko cierniem boju
 Różowym tkniona w przymierzach pokoju
 Świadkiem bądź światu, jak nim przyszedł srogi
 Szwed, na tej Górze miałś swe przestrogi.

Sam dobrotliwy Bóg i sędzia świata
 Grzechy i pyszne licząc swoje lata,

Kiedys już miarkę jego cierpliwości
 Przebrała, sypiąc nieprzebrane złości,
 Nim miecza dobył, nim ci dał sztych jaki,
 Że cię miał skarać—dawał znać przez znaki.

II, 18—19.

Pod temi słowami serce polskie dotąd jeszcze bije jakby żywe. Jakże od tych „żywych słów“ daleko do zasady, że „nierządem Polska stoi“, a jak blisko do tych błyskawic śpiżowych słów Skargi w drugim i ósmym sejmowem kazaniu, blisko może nie mocą słowa, ale prawdą czującego serca.

O tych Bożych przestroгах, o tych ostrzegawczych znakach obszernie się autor rozwodzi; siedł tu za Kobierzyckim i „Gigantomachią“, w której wszystkie cuda i niebieskie znaki skrzętnie autor notował, a nawet, wydając swoje dzieło, odpowiedniami rytmami je okrasiał.

Radziejowskiego zdradę tłumaczył nasz poeta jako Boskie zrządzenie, bo nie mógł już poprostu inaczej jej pojąć—i o przebaczenie prosił dla tego wyrodnego syna, co jak wąż jadowity wypełznął z matczynego łona:

. O jak się dziwuje
 Temu Ojczyzna, że syn urodzony
 Polski na Polskę idzie z szwedzkiej strony,
 Na własną Matkę. Ale, co się stało,
 Boże mu odpuść, snadź tak niebo chciało.

I, 33.

Nawet ohydnemu zdrajcy przebacza poeta, przewycięża miłością pożądanie bezwzględnej kary za ten najstraszniejszy z grzechów, głowę schyla kornie, jak mnich, przed niezbadanymi wyrokami Boga: widocznie pług głębokiej wiary i świętej, Chrystusowej miłości przeorał do dna jego duszę.

Jad zdrady zatruł większość zebranej pod Ujściem szlachty, zakrwawiły się bólem serca tych, co prawdziwie Polskę kochali—

Jako z powietrza, gdy ostrą na kupy
 Kosą śmierć kosi niezliczone trupy,
 Każdy ucieka, — tak o onej dobie
 Ślachta żałośnie spożrzawszy po sobie
 Rozjechali się, a ci, co stawali
 Przy Kazimierzu, serdecznie płakali.

I, 76.

Nie było już niemal przeszkód w zwycięskim pochodzie Szwedów, szybko więc posuwał się naprzód Wittemberg, do Tassowego bohatera przyrównany:

Idzie jak Argant, a co raz to śmielsze
 Serce i oczy podnosi weselsze
 Patrząc na Poznań, do którego spieszy
 On wprzód, a za nim lud konny i pieszy.

I, 79.

Przypomina się pocię Hannibalowa wyprawa na Rzym; tak jak wtedy niemal w ostatniej chwili niespodziewana a groźna przeszkoda przeciw Szwedom się podnosi:

Wielki albowiem on Scypio polski,
 Czarniecki — ku nim idąc pilno z wojski,
 Potężny filar ojczystej całości
 Tę jedną wzięwszy pociechę w żalości,
 Bronić Ojczyzny, tak chciał był spaść na nie,
 Ażeby im był słuszne dał kazanie.

I, 87.

Jak Tasso przeciwników Gofreda, jak za jego wzorem Potocki Wacław Osmana w oczach czytelnika poniżyć pragnie, niechęć do niego wzbudzić, wyszydzić, gdzie tylko można — podobnież i nasz poeta Millera przedstawia: nie bohater to, jak Szwedy głoszą, ale raczej zbójca, co po nocach napada i łupieży a do tego kalwin obrzydły

Piękny bohater? albo zbójca raczy.
 Kto jego wiarę i cnotę obaczy?
 Przyszedł pod klasztor w ten czas, gdy z ogniami
 Przykryty drzymie płomień perzynami
 I o dziesiątej w noc niespodziewanie
 W trąby zakrzyknie, aż strach wielki wstanie.

I, 103.

Przeciw słynnemu wojownikowi stanął do walki pokorny sługa Boży, jakoby poprzednik Marka-Karmelity, jakoby jeden z Mickiewiczowego zakonu, co za natchnieniem Bożem podjął na swe barki olbrzymi trud zerwania szwedzkich kajdan z Rzeczypospolitej. I nasz poeta, może nieudolnie i szablonowo, ale z pewnością szczerze składał hołd wielkiemu norodowemu bohaterowi. Nie rażą więc tu panegiryzmem — tak często niezasłużonym — strofy, w których, jak najwymowniej umiał, opiewał nieśmiertel-

na sławę Kordeckiego, owszem swoją jakąś naiwnością prosta pociągają ku sobie:

. . . . nim Miller swoich lwów z pazury
Ostremi przywiódł w łono Jasnej Góry
I nim się pod mur ściągnął obóz szwedzki,
Tymczasem Ociec Augustyn Kordecki,
Wielebny przeor — myślił jak od swego
Impet odwrócić klasztoru świętego.

Wy z Helikonu Panny i Febowe
Siostry, gotujcie wieńce wawrzynowe
Na Kordeckiego skronie a wokoło
Opasawszy je — śpiewajcie wesoło
I godne pieśni złożcie ku wieczności
Za jego znaczne prace i dzielności.

Godzien ten człowiek póki trwają lata,
Aby żył wiecznie w pamięci u świata.

II, 1—3.

Strofy poświęcone Kordeckiemu stanowią początek drugiej pieśni poematu; pierwsza tworzy niejako wstęp ogólny. Są to — mówiąc słowami Wacława Potockiego — „proscenia, że rzekę po nasku, posełkowie wojny.“ W pieśni drugiej natrafiamy na pierwsze nici romantycznej tkanki poematu. Romantyczne sceny romantyczną mają oczywiście dekorację: tajemnicze, głębokie lasy, czarów i dziwów pełne — mknie przez nie cud-dziewica lotem błyskawicy w ucieczce przed rycerskim młodzianem; czasem hartowna zbroja, co niewieścią pierś pokrywa i szyszak, co głowę stroi, w gwałtownym pędzie się zsunie, że nagle złociste włosy płomieniem cudną twarz otoczą, — to znów wśród księżycowej, srebrnej niży wymownie się skarży kochanka na twardą dolę, co z umiłowaniem kazała się rozstać i tęsknotą i niepokojem wypełniła wszystkie godziny. Miłość, co wodę w ogień przemienia a płomień ścina w lodowe kryształy — budzi w słabych niewiastach rycerskie porywy i w pożar niebezpieczeństw pędzi dobrowolnie, byle ratować umiłowanego, — miłość-cudotwórczyni w stalowe pierś rycerzy wlewa tkliwe, niewieście uczucia, Herkulesowi wrzecziono w rękę daje, a Rynaldowi każe zapomnieć o sławie bohatera. Tysiącnymi akordami sytuacji, obrazów, nastrojów, od wstrząsających, potężnych, do spokojnych, jak toń cichego jeziora lekko rozkołysana — dźwięczy harfa Tassowa, gdy miłość w nią trąca. Echem tych brzmień podobne sytuacje, obrazy, nastroje w naszym poemacie, niejednokrotnie może chęcią naśladownictwa

jedynie umyślnie wywołane, nieraz może zupełnie mimowolnie naśladowane, ale przez to niemniej szczerze odczute, choć nieraz nieudolnie, o wiele mniej subtelnie wyrażone. A między tymi znajdują się też i takie, które są wyrazem samoistnej, oryginalnej inwencji poetyckiej autora i dowodem bujności jego wyobraźni.

Za śladem zwierzyny puścił się w głęboki las Horn, „którego piękne nimfy wychowały z młodu w Szwecyjej.“ Nagle dziwną postać spostrzega

. Neta śmiertelna bogini
Ku niemu jedzie; rąbek biały z głowy
Spuściła, a zaś czarną do połowy
Taflą warkocze śliczne opasała,
A aż do kostek gźło na sobie miała.

Twarz pokazała bladą i zbolalą,
Śmiertelną, wyschlą, jednak przecie całą
I oczy żywe w martwym niosła ciełe,
Jakoby rzeczy chciała widzieć wiele...

II, 68—69.

Wbija się w pamięć ta postać w gźle białem o twarzy bladej i wyschniętej. Śmierć już wycisnęła na niej swe piętno bolesne, żyją jeno jeszcze oczy, co w tajemnice zagrobowego świata patrzą, przedziwne, szeroko otwarte oczy umarłego. Szkic to tylko, ale pełny treści, jakoby odgłos osobistego wspomnienia poety.

Daremnie Horn ściga tę postać, w której poznaje ukochaną Krystynę. Znika mu ona wnet z oczu

Ów w tym przed sobą nie widząc nic zgoła
Jedzie w bór za nią i tam za nią woła.

To ryścią bieży, to się zaś uciszy
I słucha, jeśli chręst jaki usłyszy,
A szukając jej już niewiedzieć kędy
Niehamowane łzy wylewa wszędy
I smutne głosy pospołu z wzdychaniem
Miesza, te słowa mówiąc z narzekaniem:

Okrutna śmierci, taż to twoja sprawa,
Iż przyrodzone ludzkie łamiesz prawa,
Iż dusze z pięknej wyjąwszy urody
Żywym kochankom dajesz te nagrody,
Aby ci od tych, co żyjąc kochali
Żywych, od żywych zmarszy uciekali?

II, 76—77, 82.

Częste i dla XVII wieku charakterystyczne są takie zawile wyrażenia, jak to ostatnie, niby bardzo kunsztowne i piękne. Morsztyna też przywodzi na pamięć kwieciste koncepty o ogniu miłości i obojętności lodzie

Nie tak ja czynię, ja i martwe kości
Po śmierci grzeję płomieniem miłości.
Co dzień tak gorę, że chociaż lzy leję
Nigdy miłości ognia nie zaleję.

I tyś też ogień przedtym nie lód miała,
Którymes się więc ku mnie roztapiała,
Teraz dopiero za śmierci powodem
Takeś stanęła jako rzeka lodem,
Że lubo prawie od miłości mdleję,
Swym cie płomieniem oto nie zagrzeję.

II, 83—84.

Słowa Horna przypominają nam żywo scenę w „Gofredzie,” gdzie Rynald w źrenicach Armidy topi zachwycone oczy ¹⁾

Przedtymes w oczy moje jak w zwierciadła
Piękne swe gwiazdy wlepiła i kładła
Patrząc w źrenicach moich swych piękności
I zarzuc we mnie ogień do miłości,
Który acz k tobie z przyrodzenia miałem,
Niemniej zagrzany z twych oczu pałałem.

II, 85.

Zdaje się jednak pocie, że w tem miejscu zbyt daleko zaszedł w opisywaniu trawiących pożarów miłości, „tedy, żeby przyczyną strzeż Panie Boże do zgorszenia nie był,” osobliwy czytelnikowi pokazuje na marynesie „pochop do myśli pobożnych,” okazując mu „rączką“ taką uwagę: „Miłość wrodzona gorące ma kochanie, tuszę jednak Czytelniku, że mie sam zagadniesz, iż miłość Boża ma być nagoretsza.“

Śmierć zda się Hornowi jedyną drogą, która go z ukochaną połączy na zawsze, bo prawdziwa miłość i poza grobem żyje i tam dopiero najwyższych szczytów szczęścia dosięga

Ale ponieważ w tak daleką drogę
Uszłaś, że cię już dogonić nie mogę
Ni okiem dociec, tedy za tę winę
Niech i ja umrę, niech na wojnie zginę;

¹⁾ „Gofred“ XVI, 21 — 22.

Wzdyć przecie dusza, skoro wyjdzie z ciała,
Gdym ja niegodzien będzie cie widziała.

I prędzej z tobą dojdzie swych radości
Wyszedszy z ludzkiej wieże śmiertelności,
Może się cieszyć, mając czas po woli
Z twej płci i oczu, z twej twarzy do woli,
A czasem się wam z miłości dostanie
I słodkie słodkich ust pocałowanie ¹⁾.

II, 89—90.

Prostotą i wdziękiem zwraca na siebie uwagę mały epizod, jeden z najpiękniejszych w poemacie, osnuty na wzmiance w „Gigantomahii.“ Kordecki pisze krótko: „Globus ferreus ignensceus subeundo tectum, a fumario retrusus et ad latus cadeus infantis, nec ipsum infantem laesit, nec ipsius infantis cunas adussit“ ²⁾.

Poeta nasz stworzył przepiękny obrazek na podstawie tej krótkiej wzmianki. Niech mówi on sam za siebie:

. kula jedna o północy
Między inszemi wypuszczona z działa
Na kształt komety pod dach przyleciała,
Gdzie od komina będąc odtracona
Cichą została, co była szalona.

Owszem — dziwna rzecz — podle maleńkiego
Dzieciątka legła na gniazdeczku jego
I rozpalona na słomie leżała,
A jednak słoma od niej nie zgorzała,
Ani pieluszki na dziecinie mały,
Chociaż świeciła, najmniej się nie tlały,

Jakoby go to przysłała podczas mrozu
Grzać, wyleciawszy z swojego obozu
I jakby k niemu miłością pałała
Tudzież przy jego boczku usypiała —
A on aniołek, patrząc ku niej, obie
Rączki wyciąga i śmieje się sobie.

III, 128—130.

Niepośledni chyba musiał być poeta, co tyle wdzięku z małego obrazka wydobyc potrafił i tak prostymi środkami.

¹⁾ „Gofred,“ XIX, 107.

²⁾ „Gigantomachia.“ Pag. 29.

Przepysznie się też wyraża, kreśląc z istic homeryckim rozmachem krwawe źniwo wojny:

Tymczasem znowu potężniej strzelali
I ognia ogniom więcej dodawali
Z murów Ojcowie — i tak się palili
Ogniem i gniewem Szwedzi w onej chwili,
Że i lodowa Śmierć czasu nie miała
Mrozu kłaść w członki i w pobite ciała.

III, 40.

Jak Tassowa bohaterka, Armida lub Erminia — nie chce się Czarniecka rozłączyć z ukochanym, gdy się ten na wycieczkę nocną wyprawia i raczej o śmierć natychmiastową z jego ręki prosi, albo o pozwolenie towarzyszenia sobie w boju.

A jeśli już być inaczej nie może,
Jeśli ma prośba i płacz nie pomoże,
Więc miłość za tarcz spólną wezmę z sobą
I pierwej pójdę do boju przed tobą
I tą cię tarczą zrobioną z miłości
Będę zastawiać od szwedzkiej srogości.
Może być, że cię przez mię dla mej wzgardy
Nie będzie sięgał nieprzyjaciel hardy,
Raczej się wezdrgnie i tę puści mowę:
Czy słuszną lichą krwawić białogłowę? *)

IV, 30—31.

Pociesza ją Czarniecki (Piotr oczywiście) i pieści tkliwie:

Sam jej wilgotne perły z pięknych oczy,
Gdy je po twarzy z mokrych zrenic toczy
Miętką ociera zewsząd bawełnicą,
Miłość go prawie czyni służebnicą.

IV, 41.

Twardy obowiązek odrywa go od ukochanej, śpieszy na bój zwycięski i żonę zostawia nieutuloną w żalu. Raduje poetę ta serdeczna miłość, z łagodnym uśmiechem sympatyi kreśli powrót Czarnieckiego:

Na te jej skargi i na te łajania,
Na żal, na teskność, na te narzekania
Najmilszy jej mąż po skończonym boju
Trafił, gdy ku jej przychodził pokoju,

*) „Gofred,” XVI, 48—49.

Prawie w samych drzwiach wszystkie słyszał słowa,
Które mówiła z płaczem białogłowa.

Wnet jako słońce, gdy z gruby wychodzi
Burze — tak do niej małżonek przychodzi
Z wesołą twarzą i niespodziewanie
Znagła jej w oczach jako Febus stanie,
A rozśmiawszy się i spojrzawszy po niej
Z wielkiej miłości rzecze żartem do niej:

„Niech te przymówki twą wargą osłodzę
I z temi usty niechaj się pogodzę,
Które mie zdrajcą darmo nazwać śmiały,
A miasto gniewu — miłość we mnie wlały.“

Tak się z nią cieszył, ona nań z żalością
Lubo zmyślonym gniewem lub z radością
Patrzy, to skoczyć co wskok chce do niego,
To oczy znowu odwróci od niego,
To się uśniechnie, to się zaś posepi,
Drazni się sama i zaś wzrok weń wlepi —

A potym mówiąc — „Ach! co ja dla ciebie
Cierpię!“ — ręką go odpycha od siebie:
„O śmierci moja, kiedy mie odchodzisz,
O zdrowie moje, gdy do mnie przychodzisz!“
I zaś go potym, gdy to wymówiła,
Rękami mile płacząc obłapiła.¹⁾

IV, 101—102, 105—107.

Noc już się miała ku schyłkowi, wnet brzask dzienny miał
ukazać świeże pobojowisko, pokryte śniegiem, od krwi różowym

„Skoro ta szata nocna z ciemnym mrokiem
Zniknie, obaczysz, jako się śnieg wieńcem
Różanym przykrył i skrwawił romieńcem.“
Tak ją utulił, — a wtym też domowi
Kurzy zapieli wesoło ku dniowi.

IV, 112.

Patrzy poeta z podziwem, jak kryształły śniegu lśnią się
w rannem słońcu, a wśród nich krwawe rubiny połyskują:

A gdy dzień nastał i gdy się krystały
Zmarzłe od słońca jasnego błyskały,

¹⁾ „Gofred“, XX, 130.

Między obozem w trąby uderzono
I smutną larmę w kotły ogłoszono,
Aż jakaś żalność serce przerażała
I łzy niechające z oczu wyciskała.

Widać -- a ono miejsca rubinowe
Po białych śniegach blaski czynią nowe,
Krew świeża zmarzła tak się wydawała,
Takie skry z mrozu pod słońcem sypała,
Że i prawdziwy rubin tej piękności
Niema, co miała krew z zmarzłej jasności.

IV, 113—114.

Rzadko posługują się poeci nasi XVII wieku kolorystycznymi efektami. Autor „Obleżenia“ zachwyca się widocznymi tym rumieńcem śniegu, skropionego krwią, i raduje blaskiem śniegowych kryształków w jasny a mroźny zimowy poranek.

Kuklinowskiego wyrostek, stojąc w przedśionku klasztornym, opisuje piękną śmierć Ludgierda, narzeczonego Lioby. Między słuchaczami zwraca uwagę siostra Lioby, śliczna Renata. Drogo okupił swą śmierć bohaterski Ludgierd

„ póki go serce grzało śmiało
Bił swych zabójców, aż kiedy go w ciemię
Trafiono, w ten czas już upadł o ziemię
I zaraz skonał, tylko raz serdecznie
Westchnął i tylko tak rzekł ostatecznie:
„Hej! kto to słyszy, proszę w Częstochowie
(Że Ludgierd zginął) niechaj to opowie.
Dość mi da za śmierć.“—Wtym zbielał jak chusta
I razem zawarł i oczy i usta.

Ty jednak, panno, coś mię on spytała,
Czemuś tak smutna proszę, czyś go znała?“

Zamikła na to i tylko westchnęła
Nędzna Renata nim mówić poczęła,
Jednak westchnienia i co w oczach tkwiały
Perły wilgotne, które wypaść chciały
I które sama miłość wyciskała,
Przez gwałt w powiekach mokrych utajała.

Ale choć chciała taić ślad miłości
Lub płacz, wzdychania trzymała w żalności,
Przecie niekiedy choć krople z źrzenice
Niechcąc puściła w miętą bawełnicę

I niezupełne przeddzieńki wydała
Westchnienie, bo ją miłość przemagała. ¹⁾

V, 39—43.

I tak nieraz płyną naszemu pocie z pod pióra słowa niewyszukane a wymowne, obrazy proste a piękne, wyrażenia pełne życia i krwi, pełne serdecznego, szczerzego przejęcia się opisywaną chwilą, nastrojem, obrazem.

Czasem lekkimi pociągnięciami pióra zarysowuje się pejzaż przed oczyma czytelnika, nowymi rysami uzupełnia się obraz jeszcze gdzieś z „Iliady“ pośrednio zapamiętany, gdzie Pryam na grecki obóz zadunany patrzy. (Podobnież Kochowskiemu przypomniał się obraz od Homera pośrednio oczywiście przejęty, gdy w „Dziele Boskiem“ kreślił wspaniałą postać Sobieskiego, wpatrzonego w zasiany gwiazdami firmament i w obozowe tureckie ogniska).

Noc zatym rąbek swój rozpościerała
I w złote gwiazdy niebo ubierała,
Przy których piękna Cyntya pochodnie
W twarzy paliła rozwijając ogień,
A z gór wysokich przechodziły cienie
Po głuchych polach kochając miłeznienie.

Z nieba pogodny księżyc bił promieniem
W okna i sięgał Lioby dotknięciem,
Która acz się już była położyła,
Jednak usnąwszy z tęgiego ożyła
Snu i gdzie świecił miesiąc szczerozłoty
Poszła do okna patrzeć na namioty.

Ożywia się w wyobraźni poety pozornie zakrzepły w bezruchu widok pełnej zadumy nocy księżycowej. Cienie wysokich gór snują się po rozległych polach w ciszy głuchej tonących, księżyc srebrnym blaskiem bije w okna nieszczęsnej kochanki, na krótką chwilę snem ukołysanej i budzi ją przedziwnem dotknięciem promienia-pocałunku. — —

W oczach jej staje zbroczone krwią ciało kochanka, co gdzieś na pobojowisku leży zapomniane i o pomstę prosi

„ i tak niezemszczony
Ma leżeć Ludgierd niewinnie zgładzony?
Hej! płci panińska i ty, cna miłości,
Dźwigaj tarcz ze mną, twej to rzecz dzielności,

¹⁾ „Gofred,” III, 18.

Ja oto zaraz z tych murów wypadnę
I nikt nie uźrzy, jak się z nich wykradnę.

Rąbki i miękkie rzucę to odzienie
I odmienię się w twardsze przyrodzenie,
Wezmę pieszczonej miasto jedwabnice
Pancerz i głowę ubiorę w przyłbicę
I tak, w żelazie, do boju krwawego
Pójdę, na pomstę mego zabitego.

Ale cóż czynię? czemu się tak bawię
Darmo nieszczęsna? czy mową co sprawię?
Szykuję wojska, wojuję słowami
I niasto miecza szermuję ustami,
Biję się z kimsiś, sięgam kogoś z dala,
A mój zabity gdzieś się w śniegu wala.“¹⁾

V, 166—167, 172.

Od wykonania śmiałego zamiaru odwodzi Liobę-Erminię poczucie własnej słabości i strach przed niebezpieczeństwem.

Toczy się czasem opowiadanie tak wartko, „jakoby wianki wił“, jakby same od siebie podsuwają się pod pióro szczegóły, które obraz ożywiają, pełniejszym go czynią i bardziej urozmaiconym. Ot naprz. opis spotkania Lidory z Medardem, dowódcą szwedzkiej rajтары, eskortującej olbrzymie kolubryny. Medard

Tak jadąc jakoś między dwie równinie
Spuszczał się z góry rowem ku dolinie,
Wtym czleka w polskim obaczył ubierze,
W kwitnącym wieku, w nieuznanej cerze,
W czapce soboli krymskim tokiem szytej,
W długiej delijej słamami podszytej.

Koń pod nim płynął gładko równy łądzi,
Gdy spieszna płynie na bystrej powodzi,
A za nim skarbnik szedł w poczwórne konie,
Czeladź u boku mając dobre konie
I strzelbę pewną przy wozie jechali
Manowcem, bo się drogi warowali.

VI, 41—42.

Rajтары otoczyli czeladź, a sam pan, przez Medarda tylko ścigany, rzucił się do ucieczki. Następuje epizod, który żywo podobneż w „Gofredzie“ lub „Orlandzie szalonym“ przypomina.

¹⁾ „Gofred“, VI, 81 — 87.

Czytelnik współczesny musiał się zapewne zachwycić takimi ustępami, nas zaciekawiają choćby dlatego, że są tak typowe, a nie raz nawet prawdziwie piękne. Bajkowym jakimś tchną nastrojeniem, romantycznym kolorytem, gra w nich przytłumione echo średniowiecznych, rycerskich czasów. Jak blizkim „Gofreda“ jest tu nasz poeta, jak umiejętnie odtwarza jego koloryt i wzorem swym wcale się skrzepowany nie czuje — dowodem ten epizod, który, jako typowy, warto w całości przytoczyć. Ucieka nieznajomy przed Medardem

. pomijając głogi i sadowe
 Drzewa dorodne co stały gruszkowe —
 Trafunkiem jakoś gałąź mu zwała
 Czapkę i z męskiej płci — białą zjawiła.
 Ukazała twarz gładka białogłowa
 Jak na świtaniu zorza tytanowa.

I zagnała złotym czepcem zabłysnęła
 A w gęstwinę się nieboga cisnęła,
 Gdzie ani ścieżki ani drogi było,
 W czym Medardowi szczęście posłużyło,
 Bo już w gęstwinie koń jej bieć ochoczy
 Nie mógł, — pojął ją i zajrzał jej w oczy.

W oczy pogodne, które wzrokiem chmury
 Niebieskie na śmiech (nie tylko natury
 Jakie stworzone) w ten czas pobudzały —
 Tak się wesołe lubo w strachu zdały,
 A cóż — gdyby je w śmiechu ukazała?
 — Za samo słońce niebieskieby stała. ¹⁾

Obaczywszy ją Medard ledwie czuje
 Serce w swym ciele, gdy się w nią wpatruje,
 Pała jak ogień a co raz obroku
 Więcej przydając łakomemu oku
 Stoi na miejscu podobien do skały,
 Aż się na koniec stawa skamieniały.

Nie masz nad gładkość; ani złoto, ani
 Najdroższy klejnot serca tak nie rani
 Jako uroda; ona jak przez staję
 Tak przez tysiąc mil swoich serc dostaje,
 I dyamentu jeśli młot nie ruszy
 Twardego ona spojrzaniem go kruszy.

VI, 45—49.

¹⁾ „Gofred,“ XVII, 36.

„Nieostrożnie wspanął“ tu poeta, zachwycony potęgą miłości, wyrwały mu się z pod pióra słowa, którychby się kiedyś z oburzeniem zaparł. Czytając więc powtórnie te zwrotki, „rączkę“ tu dodał i pobożną uwagę na „marynesie“: „jeśli ta marna piękność świecka tak jest potężna, cóż daleko ona wieczna, która nas aż do nieba ciągnie?“

Oślupiały z podziwu Medard zdobywa się w końcu na słowa:

„ O ty utajona
I z darów pięknych niebieskich złożona
Cudowna twarzy, która liliowe
Jagody nosisz i usta różowe,
Powiedz mi, ktoś jest? niechaj poznam zgoła
Kogo mam w ręku — człeka, czy anioła?“

Nie zaraz na te słowa się ozwała,
Ale wprzód białą twarz zafarbowała
Wstydem i oczy ku ziemi spuściła; —
Dopiero taki głos z ust wypuściła,
Jaki jej śmiałość dała przyrodzona:
„Lidora jestem, Amirowa żona.

Więcycie nie powiem, tylko to przydadę,
Że wierną w czystym małżeństwie zostaję,
Chceszli co myśleć okrom pocziwości,
Mamli z tobą żyć w jakiej zelżywości —
Tą ręką, którą trzymasz ramię moje
Utop w mych piersiach śmiertelną broń swoją.

A niechcesz-li ty, ja sama dostanę
Śmierci i sama zadą ¹⁾ sobie ranę,
Śmierć mi pocziwość małżeńską założy.“
— Wtym nóż wyrwawszy do piersi przyłoży.

Krzyknie tu Medard i już przyłożoną
Rękę oderwie. — „Nie bądź tak szaloną,
Mnie, mnie w te piersi uderz z tej srogości,
Kiedy nad sobą nie chcesz mieć litości.
I w to me serce, jeżeliś co krzywo —
Wraż piękną rękę, niech nie będzie żywo. ²⁾

.

¹⁾ Zadą = zadam. Sposób oznaczania zaniku nosowej spółgłoski, częsty w „Oblężeniu.“ To samo spotykamy często i gdzieś indziej, np. już w „Żywocie Amandusą.“

²⁾ „Gofred,“ III, 27.

Smiała się miłość na te słowa jego
 A coraz większe kładła ogień w niego.
 On ledwie żywy, jak gdy się kto złąknie
 Swego zwycięzce, zsiadszy z konia klęknie
 I takimi się zaprzysięga słowy
 Trzymając cugle pięknej białejgłowy:

„Bogiem, co moje liczy dni i lata
 I jasnym niebem świadczę w oczach świata,
 Jako na moję tę duszę ślubuję,
 Że cię zachować czystą obiecuję,
 A gdzie nie strzymam — niech zaraz nie żyję,
 Niech mie Bóg z nieba piorunem zabije.“

Tak rzekł. A ona jakoby z niewoli
 Wzrok wypuściła ku niemu powoli
 Nie bez łez, które jak perły wylała
 I niechcący się w niewolę podała.
 „Niechaj Bóg — prawi — mym stróżem zostaje,
 A to twej cnotcie — mą cnotę oddaję.“

VI, 51—59.

Pod rycerską opieką Medarda udaje się Lidora do obozu szwedzkiego, by tu podobną rolę odegrać, jak Armida w obozie Krzyżowców. Jak Tassowa bohaterka, przykuwa do siebie pięknnością wszystkie oczy; sam Miler

Patrza co za twarz, sam nie czuje duszy,
 Z drugimi stoi, ani okiem ruszy.

I tak trzymając zmysły zachwycone
 Od jej gładkości i w niej utopione
 Nie mógł już milczeć, lecz oczy z ustami
 Na pół z widokiem podzielił słowami,
 Oczy w niej trzymał, a z ust zasię żartem
 Te słowa mówił do niej takim kształtem:

„Kto mi nie przyzna, że w zmyślonym ciele
 Na cię patrzymy, prawdziwy aniele;
 Tak mi się widzi, żeś jest duch bez ciała,
 Że ziemia niebem, że te wszystkie działa
 Piorunami sam ¹⁾, a ty, gdzie potrzeba
 Będzie, wyrzucisz te pioruny z nieba.

¹⁾ Sam = są.

Bo jeśli nieba strzelają wzruszone —
 Słuszna że i ty z tobą przywieszona
 Gromy wystrzelisz; nie dziw, że wymierzysz
 Sama w te mury, że na nie uderzysz.
 Ale co mówię? jużś wymierzyła
 W serce me, jużś ogniem zapaliła.“

VI, 101—104.

Z uśmiechem czytamy wymyślne komplementy starego Millera, — wytoczył cały ich arsenał i kulami strzelistych afektów chciał daremnie zburzyć fortecę małżeńskiej poczciwości. Lidorę oburza propozycja ostrzeliwania jasnogórskich „murów świętych,“ jedynym jej pragnieniem obaczyć męża Amira, który się wśród obrońców klasztoru znajduje.

Tymczasem opór oblężonych wciąż nieprzełamany. Parlamentarze bezskutecznie wracają do Millera, a jego gniew ponosi:

Jędze go prawie piekielne paliły
 Kiedy to słyżał i gniew w nim wzruszyły,
 Oczy mu w głowie jak sfery latały,
 Wszystkie w nim żyły, wszystkie członki drżały,

Baczenie zgubił i ledwie żyw, aże
 Wszystkie burzące działa ruszyć każe.

VII, 22.

Najsroźsze szturmę odparte; Kordecki—księdza Marka przypomina, gdy swój zastęp Boży na duchu umacnia i do zwycięstw wiedzie z krzyżem w rękę. Odczuwa w nim poeta moc jakąś wyższą, nadludzką, której ulegle słuchają martwe siły,—Kordecki „wewnątrz podnieciony, jak ów, co bywa w duchu zachwycony,“ egzorcyzmami mgły rozpędza i blizkie zwycięstwo głosi:

Zaprawdę ziścił Pan Bóg, jako tuszył
 Kordecki przeor; znać, że w nim poruszył
 Ducha wieszczego—bo zaraz powstał
 Z bojaźni wszyscy.

Rośnie ufność obrońców, utwierdzana licznymi dowodami opieki cudownej Patronki. Oto jednego żołnierza szwedzkiego zabija kula w chwili największych bluźnierstw. Zwraca w tem miejscu uwagę realizm obserwacyi i dobór jaskrawych wyrażen:

Nie tak Mougibel, smrodliwe na wietrze
 Dymy puszczając, zaraża powietrze,

Jako on z Rędzin jadąc Przerębskiego,
Śmierdzące pary jadu kalwińskiego
Puszczal—bluźnierstwa przetrębując w rękę,
Przy której trzymał wydetą paszczkę.

VI, 88.

Przebrana za chłopca, zbliża się Lidora w czasie szturm
pod mury klasztorne, by z mężem choć zdaleka się zobaczyć
i przez to od niepokoju go uwolnić —

A w tym ją jeden wściagnie i zawróci,
Drugi jej czapkę z głowy zdjął i onę,
Którą płeć kryła, z kitajki zaslonę.

Wstyd okrył jej lica, jak winowajca stoi, nie wiedząc, co
z sobą począć.

Wszyscy w nią patrzą. Ona zatym z oczy
Perłowe krople po jagodach toczy,
Które od twarzy na łono spadały,
I taką wdzięczność z siebie wydawały,
Jako gdy piękne różne tulipany
Rosa pokropi, gdy wschodzi świt rany.

Warkocz ją piękny wydał i uploty
I na wierzchu jej głowy czepiec złoty.

VIII, 17—18.

A gdy ją Szwedzi zapewnili, że krzywdy nie chcą jej wy-
rządzić — ośmielona i weselsza

Oczy jak słońce jasne rozpuściła,
Usta do śmiechu wdzięcznego skłoniła,
Potym śmiech z wstydem tam, kędy mięszkają
Białe lilie, gdy cichą twarz mają —
W samych jagodach ślicznych utaiła.

VIII, 20.

Na jej gorące prośby przyrzeka Miller ułatwić jej widzenie
się z mężem; uspokaja się więc na chwilę Lidora, a gdy nowy,
straszhliwy szturm przypuścili Szwedzi—modli się żarliwie o opie-
kę Bożą nad klasztorem, o odparcie szturm.

Tak się modliła, ale jako ręce
Podniosła wzgórę przeciw Pańskiej męce,
Znowu westchnąwszy, rzekła: „Jakże mogę,
Nic nie cierpiawszy, patrzeć na tę trwoję?”

Cóż jest, o ręce, że się nie ruszycie,
 Że z mego ciała krwi nie utoczycie?

Niewdzięczne ręce, czemu darmo nową
 Tę dyscyplinę trzymacie drótwą?⁴⁴
 To wymówiwszy, swoje białe śniegi
 (Stuliwszy rąbku subtelnego brzegi)
 Siekła i dotąd sieć się nie przestała,
 Póki zdrój krwawy nie oblał jej ciała.

A skoro źródła sobie odtworzyły
 Strumienie, które na wierzch wychodziły —
 Wszystką krew swoją i ból oddawała
 Bogu za klasztor i tak rozumiała,
 Że nikt—tylko sam Bóg, rządca sumienia,
 Tego jej nie miał widzieć umartwienia.

VIII, 63—65.

Razi nas teraz ten obraz, ascetycznym duchem tchnący, ale w XVII-ym wieku nie raził wcale; Kochowski chętnieby go uznał i przyjął do swoich religijno-ascetycznych utworów.

Podpatrzyła jednak dziwne praktyki Lidory Cypryda, również kalwińskim jadem zarażona i po szwedzkim obozie ogłosiła Lidorę czarownicą. Doszło to i do uszu zabobonnego Millera, przed którym daremnie się Lidora szatańskich praktyk i czarów wypiera. Na męki ją rozkazuje Miller prowadzić, by wymusić wyznanie, że jest czarownicą (nic to nadzwyczajnego w Polsce XVII wieku). Z radością przyjmuje Lidora ten wyrok, który niebo jej przybliża, przeraża ją tylko, że Miller postanawia odwlec jeszcze wykonanie wyroku, by schwytać jej męża i razem z nim ją spalić.

Niespodziewany ten pioron srogości
 Bardziej niżli miecz przeszedł jej wnętrzości,
 Owszem na ognie i pod miecz iść chciała —
 A na te słowa cerę pomieszała
 I pobielawszy, barwę odmieniła.

VIII, 113.

Sama pragnie iść na męki

„Ja sama winna, ja niech pokutuję,
 Mnie kat niech ogień i pał nagotuje,
 Na mnie włóż łańcuch, mnie wrzuć do ciemnice,
 Mnie okuj w pęta jako czarownicę,
 Albo mię wprzód zgub, nim mury obalisz,
 Nim mego męża pojmasz, jak się chwaliisz.“

VIII, 115.

Rozwścieczony Miller do ciemnicy ją wrzuca, ale wnet uwalnia za wstawiennictwem Sebalda.

Porównań większych stosunkowo niewiele w poemacie—jak na epicką opowieść nawet uderzająco mało—i to nie wszystkie bardzo poetyczne, np.:

Jako po słodkim trunku, gdy się zbierze
Gorzka cholera—nie stoi w swej mierze,
Ale ją z siebie żołądek precz pędzi,
Tak i Ojcowie tych słów, które Szwedzi
W różnym powabie do nich posyłają,
Z uszu i z myśli tym kształtem zbywają.

VIII, 141.

„Poemata“ wypełniają niemal całą dziewiątą pieśń i może też dlatego należy ona do najpiękniejszych w całym utworze. Na wstępie obraz księżycowej nocy:

Już wszyscy ludzie troski, w których byli—
Śpiąc w niepamięci słodkiej utopili,
Ale Lidora sama w onej dobie
Różne przypadki rozbierając sobie,
Miękie poduszki łzami pokrapiała
I snu na oczach bynajmniej nie miała.

Wtym piękny księżyc przez okna ku ścienie
Na jej smutną twarz obrócił promienie —
Ona wnet wstała, a widząc poświatę,
Na świat pogodny poszła przez kownatę.¹⁾

IX, 2—3.

Niebo nad nią cudne, gwiazdziste, dziwny czar nocy ją przenika, patrzy na tarczę księżycy i szlakiem jego srebrnych promieni śle swą serdeczną tęsknotę:

„Śliczny miesiącu, ozdobo pięknego
Nieba i światło świata niewidnego,
Ty z góry patrzasz na ludzkie zabawy,
Ty niezmierzone po wszem świecie sprawy
Widzisz i wszystkim użyczasz jasności —
Obacz, proszę cię, i moje żałości.

Wierzam i teraz, że tam gdzieś mojego
Amira widzisz straż obchodzącego,

¹⁾ Stale „kownata“.

I on wzajemnie (tuszę) patrzy na cię —
 Gdy się tak toczysz w własnym majestacie.
 Pospołu pewnie na ciebie patrzymy,
 On tam, a ja tu w tobie wzrok trzymamy.

O gdyby to twarz twoja tak pogodna
 I dla piękności wielkiej chwały godna
 Jakie zwierciadło w sobie pokazała,
 Aby nam nasze twarży widzieć dała
 I zjednoczyła oczy oddalone
 Jednym widzeniem w sobie utopione.

Ujrzałyby miły dotąd utęsknioną
 Ciężko dla siebie żonę utrapioną.
 Ponoby zaraz i z muru wyskoczył,
 Gdyby mnie jako w twojej twarzy zoczył.“

IX, 11—15.

Widzi, jak srebrzą się mury klasztorne w księżycowej po-
 świcie

„O piękne mury jako się świecicie,
 Gdy miesiąc na was, wy w miesiąc patrzycie.

O miłe wiatry, co stamtąd wiejecie,
 Co mi ochłody jakiś dodajecie,
 Ten wdzięczny zapach znowu nazad weźcie,
 A to mojemu miłemu odnieście,
 Że jutro rano pojedę do niego
 I uweselę smutne serce jego.“

Tak sobie gada, a już też ku dniowi
 Z północks kurzy zaczęli domowi
 Budzić głuchy świat.

IX, 20—24.

Switać zaczyna, a Lidorę dziwny strach ogarnia; powraca
 szybko do swego schronienia, stroi się przed zwierciadłem i kun-
 sztownie włosy upina, — swobodnie pozostawia te niesforne i fi-
 glarne, co nad czołem się wiją:

Krótsze zaś włosy, co były nad czołem,
 W pierzcie czosa i tak pięknym kołem
 Trefiła, że w swej mierze zawsze stały,
 Oczom nie szkodząc, chociaż się błąkały.

IX, 34.

Udaje się do szwedzkiego obozu i tu czarem swej piękności
 wiąże wszystkich dokoła, Miller o obowiązkach wodza przy jej

boku zapomina, „winem już dobrze zagrzany, coraz w niej oczy ocieęzałe topiąc, zbywa mocy i twardo uśnie.“ I dobrą wtedy chwilę na wycieczkę wybrali oblężeni: Szwedzi, zaskoczeni niespodzianie, rzucili się do broni, jeden jeno Miller, zmorzony winem, pozostał w namiocie przy boku Lidory. Przypomina się tu z biblii Judyt i Holofernes. Tylko obecność paziów powstrzymała Lidorę, że ukrytego w sukniach sztyletu w sercu mu nie utopiła — wypada z namiotu i tuż przed sobą swego Amira dostrzeżga, jak w pojedynku z Wejmerem staniać się już zaczyna. Rozpaczliwie rzuca się przed męża, osłania go przed ciosami wroga

Tarcz mu z swych piersi i z ręku obrony
Czyniła, bo gdy chciał go z której strony
Ciąć, ona ręce jego zawściągala
I przez moc srogie cięcie hamowała.

IX, 182.

Cudem jakimś nadbiegli Jasnogórzanie. Lidora celnym strzałem zabija Wejmera i do ciężko rannego Amira powraca.

Z żywym odczuciem gorącej miłości, serdeczną krwią—pisał poeta te strofy proste:

Zstabiłaż zatym co dotąd powieki
Amir opuścił — podnosi przeddzieki
I poglądając na swą miłą — znamię
Miłości — kładzie na jej rękę ramię
I napół żywy raz oczy powlecze,
Drugi raz spuści, potym krótko rzecze:

„Jedno najmiłsza żono pod łaskawym
Niebem widzę cię przyjacielem prawym.
Na co mi złoto wspominasz? ty moim
Skarbem, ja w sercu zawieram się twoim
I obroną cię i ozdobą zowie,
Ty sława jesteś, me jedyne zdrowie.

O! nadewszystkie najdroższa klejnoty,
Jak cię szacować w nagrodę twej cnoty?
Boże, daj mi wiek jeszcze tak szczęśliwy,
Żebym był dotąd w rękę twoich żywy,
Pókiś nie oddam, ma namilsza, tego
Długu miłości na mnie włożonego.“

To rzekszy, westchnął, a będąc słabością
Ciężką zemglony z bólów i żalnością —

Wzrok utopiwszy w swej kochanej żenie,
Rękę podnosił na jej przytulenie.

IX, 197—200.

Wreszcie dopadają oboje szczęśliwie klasztornych murów.

W obrazach, z fantazyi jeno wysnutych, a nie na historycznej podstawie opartych, łatwo napotyamy przeróżne reminiscencye i analogie; nietrudno też za analogię uznać to, co jest właściwie reminiscencyą, a czasem nawet świadomem naśladownictwem—i naodwrot, za reminiscencyę, co jest najprawdopodobniej tylko analogią. Za analogię też, a nie za reminiscencyę z „Boskiej Komedyi“ Dantego—jak to sądzi Jensen ¹⁾—uznałbym opis nadziemskiej wędrówki Lioby w jedenastej pieśni „Obleżenia“. O Dantem bowiem wciąż jeszcze głucho było w Polsce i choć wielu władało językiem włoskim nie znał go niemal nikt, a do wyjątków pod tym względem nasz autor chyba nie należał. Klasyczną raczej reminiscencyą z Wergilego lub innego naśladowcy Homera, albo też najprawdopodobniej z jakiegoś religijnego, nieznanego mi utworu, opartego może na „Boskiej Komedyi“, zda mi się ten pomysł wędrówki Lioby po zaświatowych regionach. Nieraz istotnie bardzo żywo przypominają się w tej przedostatniej pieśni obrazy z Dantego, natomiast reminiscencyą lub też wprost naśladownictwem z Tassa są tu opisy wspaniałych niebiańskich ogrodów, tak bardzo podobnych do opisów rajszych ogrodów Armidy lub zaczarowanego lasu w „Gofredzie“.

Gdyby zaś istotnie, w myśl przypuszczeń Jensa, były w „Obleżeniu“ reminiscencye wprost z „Boskiej Komedyi“, to na tem większą uwagę zasługiwałyby nasz poemat jako pierwsze w literaturze polskiej echo Dantego i na tem większy szacunek poeta, co pierwszy poznał bliżej włoskie arcydzieło i na niem się wzorował.

Ale chyba nie z dantejskiego piekła wydarł nasz autor te ponure, a tak wyraziste obrazy polskich sejmików i polskich krzywd społecznych w tej przedostatniej pieśni skreślone. Są one jego wyłączną własnością, obywatelską przedewszystkiem, a potem poetycką zasługą.

To też z wielu względów warto się bliżej zapoznać z pieśnią jedenastą „Obleżenia“.

¹⁾ „Dantes Divina Commedia sparas i Liobas spaningsfärd fran ett jordiskt helvete till skärselden och paradiset.“ Op. cit. str. 99.

Boleść nieukojona niczem i tęsknota stały się nieodstępnymi towarzyszkami Lioby, odkąd ją tylko wieść doszła o śmierci Ludgierda. Pociesza ją z nieba zesłany świątobliwy starzec i w niebo jej duszę prowadzi

Tak z panińskiego serca struchlałego
Nadzieją chwały nieba wesołego
Bole wyjąwszy—potym, acz tam stała
Kupa na ten czas białychgłów niemała,
Wywiódł z niej duszę i poszedł przez ściany
W gmachy niebieskie starzec niewidziany.

XI, 13.

Zachwycona Lioba wspaniałe nieba ogląda, słyszy chóry cudne na cześć Panny czystej naprzemian śpiewające, wchodzi wreszcie za swym przewodnikiem do wspaniałego kościoła, gdzie w cudownym zwierciadle odbijają się wszystkie ludzkie sprawy. Więc ogląda tam Lioba bitwę morską z Turkami i sąd Boży nad bogaczem i Bogarodnicę, co za grzesznikami wstawia się przed sprawiedliwym Sędzią. Nagle znikają obrazy w zwierciadle i kościół zaczyna się zapełniać tak dobrze znanymi postaciami

Aże skoro takie widoki ustały
W zwierciadle, które jawnie dotąd trwały,
I gdy już w onej nic nie było chwili
Widać, oto wnet skądsi się zjawili
Ludzie i w niebie (o jak dziwne sprawy!)
Jako na świecie napełnili ławy.

Tu złotogłowy, które więc Persowie
Robią, okryli na miejscach panowie,
Tu młódź i młodsze pacholeta stoją,
Patrzą na pany, fantazyą stroją,
Tu z inszych drudzy animusz stopyrca,
Czupryny głaszczą i piętami wiercą.

Co poważniejsi boki rozpirają
W ławach, a z śmiechem czasem rozmawiają
Znać nie o Bogu, bo sama postawa
Z samy ich cery i z oczu wydawa,
Ale niewiedzieć co tam za praktyki
I jakie w głowie budują fabryki.

Drudzy z humorem wasy odymają,
A kiedy w ławkach miejsca sobie dają
Wprzód—dogadzając świeckiej polityce—
Tył do ołtarza, a oczy i lice

Do przyjaciela, czcząc się, obracają,
I tak nie Bogu, lecz sobie cześć dają.

Inszy prowadzą damy ustrojone,
Żywe i w chodzie nieuspokojone,
Które jak kursor idą zapędzony,
Trącając chodem sukien swych ogony
I oczy niosą, nie rzekę—wstydlive,
Lecz napół bystre i napół zdradliwe.

Drudzy słuźali w frącmer¹⁾ się mieszają.
Tanże dopiero co za żarty mają
I jakie śmiechy, jakie umięzganja
I jakie bystre na się pogładania.
Juź dali sam Bóg takiej polityki
I święte w niebie nie mogły znieść szyki,

Ale wyszedzsy bohater skrzydlaty,
Od którego blask bił z świecącej szaty,
Gniewliwym głosem zawołał surowie:
„Dom to tu Boży, nie giełda, łotrowie!
O ciemni, którzy bładzicie w jasności!
O niewdzięcznicy tej ślicznej wieczności!“

To rzekszy, mieczem z góry się zamierzył
I tak potężnie w pawiment uderzył,
Że aż kwadraty z jaspisu gładzone,
W których świeciły złote przyrodzone
Żyły — nie wiedzieć gdzie się roskoczyły
I dno, jak jaką przepaść odtworzyły.

A z ludzi owych trudno dojrzeć było,
Jako ich siła w momencie ubyło;
Tych zaś, co jeszcze w kościele zostali,
Gdy dno zapadło, anieli trzymali
Dotąd, aż znowu pawiment przystąpił
I każdy kwadrat na swe miejsce wstąpił.

XI, 44—56.

Jest w tym obrazie bystrość obserwacji i plastyka wyrażeń i szczerłość oburzenia na zniewagę domu Bożego w grzmiących słowach Archanioła. Objasnia starzec wszystko Liobie i słuszną karę Bożą tłómaczy

„Ach prze Bóg! niżci wesły te przymioty
W ludzie, że raczy idą na zaloty

¹⁾ Frącmer = fraucymer.

Nie na modlitwy do domu Bożego,
Już tam strój jeden przejmuję z drugiego,
Już aż do wierzchu od stóp się sięgają,
Już polityki wzorki wybierają.

A co największa — drudzy pijanicy,
Zażywszy pary z śmierdzącej sklenicy,
O czym więc w karczmie z sobą rozmawiają,
O tym w kościele, zszedszy się, gadają
I miasto modlitw uszom przeraźliwe
Bez wstydu mówią słowa nieuczciwe.

Jeszcze i nadto insi, gdy nie mogą
Zwyczajną jaką do rozmów przyść drogą,
Na pewne czasy, gdzie się widzieć mają
Skład do kościoła sobie naznaczają
I tam na pewne przychodzą rozmowy
Tak i mężczyzna, jak i białogłowy.

XI, 63—65.

Pisał te słowa ten, co na taką zniewagę kościoła własnymi oczyma patrzył i przez usta starca sam teraz przemawiał jakoby jego wielbiciel i żarliwy wyznawca.

Prowadzi potem starzec Liobę, jak Wergiliusz Danta, po cudnych łąkach kwiecistych, ponad srebrnymi strumieniami; koło jakichś murów olbrzymich odnawiają się dawne walki i rozgrywiają przyszłe: tureckie zaborcze wyprawy, walki Polaków z Tatarami, Kozaczą i Moskwą, Podola straszliwe spustoszenie. Patrzy Lioba na harpie ohydne, co Polskę szarpia — prywatę, obłudę, podstęp i zdradę i ubogich ucisk:

Brat brata bije, grzmi ziemia pod niemi—
Kościół nie skryje ludzi, których gonia,
Pocziwe żony z dziećmi się chronią,
Pan się sam gryzie, Ojczyznę ból męczy,
Żołnierz dowodzi, chłop z ucisku jęczy.

XI, 89.

Nad pięknym gajem „duchy jako gołębie latają“—jęczy gaj cały i skarży się tysiącem głosów, o karę słuszną błaga sprawiedliwego Boga. ¹⁾ Strugami płynie krew, łupieżstwem i uciskiem ubogich jakoby prasami wyciskana, jastrzębie i sępy ją piją (na

¹⁾ „Gofred“ XIII, 40.

boku dopisek: „jastrzębi i sępowie—ci są, co prace z ubogich jako krew wysysają“)

Tu, skąd te krwawe strugi się ściągają
 Głodni jastrzębi nad niemi latają,
 A rozciągając skrzydła na przemiany
 Kręcące z wierzchu rwą i piją piany —
 Tu zaś, gdzie morze—na zsiadłej krwi siedzą
 Sytni sępowie, a przecie krew jedzą.

XI, 72.

Lęk śmiertelny przejmując Liobę, nie wie sen-li to, czy jawa, rozszerzając się przerażone źrenice, wpatrzone w te straszne obrazy, olbrzymieje postać dziwnego starca, co takie widma wywołuje z jakiejś piekielnej otchłani. O imię zapytany starzec—odpowiada, że jest Pawłem Eremitą, opiekunem zakonu Paulinów:

Jestem ja Paweł, a tytuł u świata
 Mam „Eremita“ na potomne lata.
 Pod mym tytułem w zakonach synowie
 Tacy zostają, jako w Częstochowie.“

XI, 93—94.

I płynie dalej przez usta starca wezbrana gorycz poety:

O, jako straszne wyroki nad temi,
 Którzy niesłusznie wojują na ziemi
 I którzy panów z poddanemi władzą
 Albo roztyrki dla swych prywat radzą,
 A żołd rycerski i ucisk w tej dobie
 Na swe pożytki obracają sobie.

Ale i o wy, co na swojej głowie
 Boską powagę nosicie, królowie —
 Prawie nad wszystko to uważać macie,
 Jakich do rady osób zażywacie,
 Jeżeli dobro Rzeczypospolitej,
 Czy zysk prywaty upatrują skryty.

Wojnę tę tylko, gdzie się bronić trzeba,
 A naprzód za cześć Bożą, chwały nieba,
 Lecz jeżeli złą radą rozrywacie
 Wczesną obronę i chcąc czas włączacie—
 Nie nieprzyjaciół, ale wy niszczyście
 Swych, gdy niesłuszne praktyki czynicie.

Ci to sępowie, ci, Liobe, siedzą
 Na krwawym morzu i zsiadłą krew jedzą,

Którzy w odmęcie niesłusznego boju
 Mniej się kochają w ojczystym pokoju
 Dlatego, aby srogie wyciskali
 Podatki z ludzi, a sobie je brali.

XI, 98—102.

Słychać tu znów ten ostrzegawczy, złowróżbny, a rzadko w literaturze XVII wieku się odzywający głos, co ukazuje coraz głębszą przepaść między społecznymi stanami; tuczą się jedne kosztem drugich i krwią ich pijane wysysają z nich resztki tej energii, któraby zdołała uratować jeszcze śmiertelnie już chory organizm Rzeczypospolitej.

Niema nic oracz ubogi krom duszy,
 Ciecze pot z niego, nędza go wysuszy,
 Gdy już ubóstwo na składki wygrzebie
 W ostatku fanty wyprzedawa z siebie
 I jako w prasie wycisniony srodze
 Krew własną daje nędznik—nie pieniądze.

A to (ach) jako ci głodni szarpają
 Jastrzębi, którzy podatki zbierają.
 Sama to widzisz—a to nad rzekami
 Uwijają się, pijąc krew nosami
 I nim się ściągną do skarbu pieniądze
 Dobrze ich sobie nadszarpią na drodze.

A coż, gdy wpadną w ocean głęboki
 I owi tłuści—tucząc lepiej boki,
 Co oceana tego klucze mają,
 Łakomych kruszców aż na dnie sięgają,
 Czasem w bankietach na smak—albo w winie
 Tę krew mieszają—a Ojczyzna ginie.

XI, 103—105.

Choć krzywda się dzieje maluczkiem, milczeć muszą, dzięki pochlebcom, nie widzą panowie ich ucisku, ani skarg nie słyszą, królowie nawet sami niebacznie spuszczaają się na niecnych urzędników:

A któż bez wstydu i insze wymieni
 Nierządy, jakie człek bezecny czyni.
 Sama, ma dziewko, owe narzekania,
 Zdroje łez gorzkich, z różnych drzew stękania
 Słyszałaś w gaju, w którym te mieszkają
 Dusze, co pomsty za gwałty wołają.

I tak wołają, że aż owi bieli
 W postaci białych gołębiów anieli—
 Na gaj padają z nieba wysokiego,
 Ujmując im mąk ognia czyścowego,
 Drugie do nieba, skoro dokonają
 Pokuty, z czyśca z sobą wprowadzają.

A przecie niechce świat uważać tego,
 Jakie są męki różne na grzesznego,
 Przecie pochlebcy panom zasłaniają
 Oczy i uszy, że choć krzywdy mają
 Ubodzy w chatach, albo gdzie na roli,
 Nie mogą mówić—dla nich, co ich boli.

XI, 108—110.

I płyną z ust poety zdania proste, a jak grom bijące, „Skar-
 gi mową mówi piorunową,“ całego ludu krzywda przezeń się
 skarży i pomstą Bożą grozi. Przed narodem całym staje, biorąc
 na siebie ciężkie brzemie odpowiedzialności za słowa własne
 i krwawo błyska winnym w oczy gorzką i bolesną prawdą, kró-
 lowi nawet samemu obowiązki jego przypomina, a między tymi,
 jako pierwszy i święty: obronę krzywdzonego ludu.

Niechajże tedy ostrożni zostają
 W państwach królowie, niech sami patrzą
 W krzywdy oczyma i w te wszystkie rzeczy,
 Które im każe Bóg mieć na swej pieczy,
 Bo ich dlatego wynosi na tronie,
 Aby pod sobą mieli lud w obronie.

Niech urzędników rzady przeglądają
 Tych, co im sprawy i ludzie w moc dają,
 Żeby dla łupiestw i ciężarów srogich
 Krew wypłynęła z ucisku ubogich,
 Gdyż Jezusowa krew—za krew ich wszędzie
 Nad tyranami pomstę czynić będzie.

XI, 111—112.

Łuną purpurową zamroczył poeta tak jasne dotąd tło swego
 „Obleżenia“ i jeżeli wyłomem niejako w całości są te ustępy, to
 jednak nic ona przez to nie traci, owszem, zyskuje w nich poeta
 sam, co tak silnie targnął tą struną bolesnej goryczy, zyskuje
 poemat przez rozszerzenie tak zacieśnionych dotąd horyzontów
 i jego zbyt jednostajne dotychczas tło—przez rzucenie nań nadto
 może niepokojącej, ale przykuwającej uwagę smugi ciemnej, jako-
 by jakiejś rany krwawiącej.

Ale z pewnością nie estetyczne względy były pobudką powstania tych ustępów, nie tak, jak „poemata“ dla okraszenia jedynie i urozmaicenia swego utworu pisał je poeta, ale z wewnętrznej konieczności, party natchnienia przemożną siłą, spotęgowaną przez patryotyczny, obywatelski ból, umiłowanie całego narodu bez różnicy stanów, troskę o przyszłość, co jako złowróbna chmura zawisła nad Rzeczpospolitą. Stąd moc tych słów twardych a stanowczych, bije z nich prawda naga, co zaprzeczeń nie zniesie i tętni w nich jeszcze jedno więcej polskie serce.

*

*

*

Odwraca Lioba oczy od polskiego czyścica tam, gdzie jej starzec olśniewającą jasność nieba ukazuje, gdzie słyhać cudne pieńia trzech chórów anielskich o rozkoszach niebios i gdzie sam Bóg króluje z Bogarodzicą w majestacie chwały. W świetnem kole papieży i królów, co kiedyś mają panować na ziemi—zwraca uwagę Lioby młodzian urodziwy

„Ale proszę cię, on zaromieniony
Młodzian, co go wstyd zdoła rozkrzewiony—
Powiedz mi, kto jest? coś prawie boskiego
Między inszemi widzę w twarzy jego.
Co to za anioł, co nad nim koronę
Trzyma, co tarczą czyni mu zasłonę?“

XI, 146.

Wylicza więc najpierw starzec długi szereg przodków sławnych młodziana, a między nimi Giedymina, Olgierda i Jagiełłę, jako protoplastów książąt Zbaraskich, Poryckich i Wiśniowieckich. Między ostatnimi Jarema sławą góruje, a młodzian ten, to

Michał jest książę, cny syn Jeremiego,
Z Gryzeldy spłodzon domu Zamoyskiego.
Ten zaś, co nad nim trzyma klejnot jasny,
Michał Archanioł, patron jego własny
Na opiekę mu od Boga przydany,
Z którego będzie rąk koronowany.

XI, 156—157.

Patrzy potem Lioba na szereg poprzedników Korybuta na polskim tronie, z tych ostatni Kazimierz, a po nim królem będzie Michał

Ty królem polskim najpierwszy zostaniesz
I wśród Senatu jako słońce staniesz,
Jasna ozdobo Korybuta cnego,
Zacny Michale, synie Jeremiego.
Za czternaście lat, gdy Kazimierz złoży
Koronę, Bóg ją na twą głowę włoży.

Ujrzą na ten czas, ani to zagłuchnie,
Jak trzykroć biała gołębia gruchnie
Na trzeci krokwi, nim w sopie zasiądą
Senatorowie, co w niej siedzieć będą—
Znak to już przyjdzie, poznasz to sam szczerze,
Że cię rycerstwo za pana obierze.

XI, 166—167.

A potem Eleonorę rakuską pojmie za żonę i weźmie z nią ślub na Jasnej Górze.

Odpowiadało upodobaniom współczesnym takie niby-prorocstwo (analogiczne np. w „Gofredzie“ XVII). Zachwyciłby się też czytelnik XVIII w. przepychem niebieskiego „dziardynu,” przez który szła za starcem Lioba:

Między ścieżkami (na dziw przyrodzeniu)
Pysznią się ziola w barwistem odzieniu:
Stoją lilie, jakby srebrem szyte,
Po nich przechodzą pręgi złotolite,
A wewnątrz końce na źdźbłach im pałają,
Gdzie z świetnych serca dyamentów mają.

Róże szkarłatnym i karmazynowym
Jedwabiem tkane na kwieciu gotowym
(W którym się wonne listki rozwijają),
Jasno-rumiane rubiny wydają,
A tulipany w złotogłowach całe
Upstrzone stoją w złoto i korale.

XI, 182—183.

Nagle zniknął przewodnik Lioby, przerażona błądzi i woła go daremnie głosem przedziwnym, co brzmi, jak śpiew łabędzi:

I potym słucha, jeśli kto życzliwy
Nie odzywa się na jej głos troskliwy,

Który z panięskich ust tak puszcza głośny,
Jako więc łabędź, gdy kona żałośny.

XI, 188.

Wreszcie wchodzi w pałac wspaniały, gdzie za kryształową ścianą dostrzega swego Ludgierda, zatopionego w dziwnej ekstazie:

A on nie jedną krwawą pluszcząc raną,
Za kryształową odpoczywa ścianą
Na złotem krześle i w złotej koronie,
Trzymając w niebo podniesione skronie,
Wspiera rękami twarz z obojej strony,
Wszystek w niebieskiej chwale utopiony.

XI, 192.

Na serdeczne prośby Lioby rozstępuje się ściana z kryształu, przybiega kochanka, przemawia czule, o przywitaniu pokornie prosi, o słodki pocałunek—Ludgierd jakoby jej nie widział wcale. A gdy go objąć pragnie Lioba trzykrotnie—po trzykroć ginie jej z oczu, jak cienie umarłych u Homera lub Dantego. Wreszcie karci ją kochanek łagodnie, „nie dworstwa jakie, nie żadne pieszczoty“ są szczęściem najwyższem, ale oglądanie Boga. Ciała na ziemi zostać muszą i dopiero po zmartwychwstaniu uwielbione z duszami się złączą; niech więc odejdzie od niego, niech wpierv ziemskich się pozbędzie marności, a niebieskich rozkosny tęsknotę w sobie obudzi. Zgodzić się musi Lioba poniewoli

„Niechże tam ciało już jako chce sobie
Przez mojej dusze odpoczywa w grobie,
Już o nie niedbam, niech w ziemi zostaje,
Zegnam urodę, Bogu ją oddaję.
Dość mam, gdy z tobą przy twojej piękności
W równej pospołu będę żyć miłości.

XI, 221.

Zjawia się jednak Paweł przewodnik, rozkazuje Liobie powrócić na ziemię i obiecuje jej powrót do nieba za siedem dni. Obrońcom klasztoru niech powie, że jeszcze jeden tylko szturm wytrzymać mają, po którym Szwedzi ustąpią ostatecznie.

Skoro to wyrzekł, ona w nignieniu oka
Cudownie ukos zniesiona z wysoka
W ciele się ujrzy, a jako nikt cale
Lotu nie może dojrzeć w prędkiej strzale,

Tak przyścia na świat swego nie pojmuje,
Tylko jak ze snu ludziom się dziwuje.

XI, 227.

Opowiada teraz Lioba wszystkim o swej niebieskiej wędrówce.

Tak apoteozą niejako czystej miłości kończy się pieśń jedenaśta. Zwracają w niektórych jej ustępach uwagę motywy zupełnie bajkowe, cudowne — tak współcześnie ulubione, w romantycznych opowieściach tak częste.

Końcowa pieśń zawiera opis ostatniego szturm, w czasie którego Kordecki widzi skrzydlate zastępy aniołów, klasztor osłaniające. Od strony, gdzie sam Miller następuje, Archanioł Michał murów broni, a przeciw Heskiemu księciu staje Ludgierd w kirys zbrojny. Szturm szczęśliwie odparty, Szwedzi odступują od Jasnej Góry, w klasztorze tryumfalne hymny, zewsząd nadpływają dary (autor skrupulatnie wylicza ofiarodawców). Wyprawia się jeszcze pod klasztor niespodzianie Wrzeszczewic, ale opis tej ostatniej walki — z powodu wydarcia dwu kart rękopisu — zaginał. Wtedy to pewnie zginęła Lioba, a niedługo potem i Wrzeszczewic, zatopiony przez chłopów.

Ten potkał koniec Wrzeszczewca nędznego
Za niecne zdrady i rabunki jego,
Czym drugich uczy, jako święte nieba
I Świętych Pańskich szanować potrzeba.
Wykniejcież ¹⁾ tedy dróg sprawiedliwości,
A miejcie wszyscy Boga w uczciwości!

XII, 239.

I tak się kończy „Obleżenie Jasnej Góry Częstochowskiej.“

*

*

*

Z jakich czasów pochodzi nasz poemat?

Baliński uznaje go za utwór z końca XVII w. Jensen zaś sądzi, ²⁾ że „można niemal z pewnością podać rok powstania utwo-

¹⁾ Wykniejcież dróg = przywykajcie do dróg.

²⁾ Op. cit. str. 99.

ru: 1669, bo w tym roku obrano Wiśniowieckiego królem polskimi, a Lioba właśnie widziała w niebie jego wkrótce mającą nastąpić koronację.“

Sądziłbym, że jest to zbyt daleko idące zacieśnienie granic w czasie, jakiby dla naszego utworu można zakreslić. Nie zdaje mi się prawdopodobnem, by utwór tak wielki mógł powstać w jednym roku; praca nad nim zajęła autorowi zapewne lat kilka. W każdym jednak razie można czas napisania utworu oznaczyć dokładniej, aniżeli to uczynił Baliński.

Autor „Obleżenia“ powołuje się często na „Gigantomachię“ Kordeckiego i oznacza nawet odpowiednie strony edycji tego utworu, który ukazał się najwcześniej z końcem r. 1657 (jak to wynika z daty aprobowania dziełka przez władzę kościelną); drugie źródło, do którego się w tenże sposób odwołuje nasz poeta — „Obsidio Clari Montis“ Kobierzyckiego — ukazało się w r. 1659. Najwcześniej więc w r. 1659 mógł się autor zabrać do pisania „Obleżenia.“ Będzie to więc dla nas możliwie najwcześniejszy termin „ab quo.“ A termin „ad quem“? Ostatnim wypadkiem historycznym, o jakim poeta wspomina, jest ślub Michała Korybuta z Eleonorą, który się odbył na Jasnej Górze dnia 27 lutego 1670 r. A więc nie skończył jeszcze swego poematu w r. 1669, jak to przypuszcza Jensen, pisał go jeszcze z pewnością w r. 1670. Michałowi Korybutowi oddaje wielkie pochwały, jako panującemu; gdyby swój utwór pisał już za Sobieskiego, z pewnościąby o nim wspomniał. Z tego też powodu najdalej rok 1673 (rok śmierci Wiśniowieckiego) może być terminem „ad quem.“

Najprawdopodobniej więc „Obleżenie“ powstało w czasach panowania Michała Korybuta.

*

*

*

Kto jest autorem poematu?

Baliński odpowiada na to: „Przypisują go napróżno Puławskiemu, wszakże z pewnością nie możemy wiedzieć, kto był jego autorem.“

Kto „Obleżenie“ przypisywał Puławskiemu, kiedy i gdzie takie przypuszczenie wyrażono — nie umiem powiedzieć. Jensen tak się wprost wyraża o słowach Balińskiego w jednym z przy-

pisów: „Kto był ten Puławski—nie wiem; nie mógł to być znany polski historyk Fr. Puławski, bo ten zmarł w r. 1738.“¹⁾ Brückner uważa poetę za nieznanego. Niełatwo też mieć tu jakieś prawdopodobne przypuszczenia; ogólnikowo stara się oznaczyć poetę Jensen i popiera swą hipotezę kilku przekonywującymi argumentami. Przytaczam znów jego słowa: „Nie uważam za nieprawdopodobne, że autor był mnichem; na to wskazuje zarówno pobieżna przedmowa, jak i dogmatyczne wywody o nauce trójjedyności, stosunku duszy do ciała, o rzeczach ostatecznych i t. d. Może też znał on osobiście Kordeckiego i może słyszał w Częstochowie opowiadania, które go natchnęły.“²⁾

Uznając w zupełności hipotezę Jensena — pójdę trochę jeno dalej, gdy przypuszczę, że poeta nasz był poprosto Paulinem z Częstochowy lub Krakowa. Powyżej w kilku miejscach zlekka starałem się to zaznaczyć. Przemawia za tem przypuszczeniem pochodzenie rękopisu (pierwotna własność klasztoru Paulinów na Skałce), znajomość bliższa ksiąg i kronik konwentu w Częstochowie (dowodem—to szczegółowe wyliczanie ofiarodawców w pieśni dwunastej); czasem jaskrawo ascetyczne tendencje (tu do argumentów Jensena dodałbym jeszcze owe, niestety, zaginione „rekollekcje“, o których autor w przedmowie wspomina, a których istnienie jest chyba tych ascetycznych dążeń najlepszym wskaźnikiem). Mocno też to twierdzenie popiera ów cudowny starzec, przewodnik Lioby, a zapewne i autora wzór zakonny — „Paweł Eremita“, opiekun zakonu Paulinów, umyślnie chyba tak wybrany. Kordeckiego mógł też znać nasz Paulin osobiście (jak to przypuszcza Jensen), bo przeor-bohater umarł dopiero w r. 1673.

Możnaby wprawdzie przytoczyć parę przeciwnych argumentów, ale zbyt może słabych. Np. wskazałby ktoś na te ustępy w poemacie, przy których pisaniu mocnoby się musiał rumienić poeta duchownego stanu, sądzą jednak, że nie pisał on ich z wyrafinowania jakiegoś, ale dlatego jeno, że zupełnie podobnie inni współcześni poeci pisali, że szedł nieraz ślepo zupełnie za swym wielkim wzorem — „Gofredem“ i często nieopatrznie go naśladował. Jeżeli zaś czasem zbyt może natarczywym był Amor-niecnota, ukryty pod mniszym kapturem, to wina w tem Amora, nie mnicha. Zresztą—sprzeciwiało się to może regule zakonu, ale nie sprzeciwiało się poezji, a z tego nam tylko stanowiska osądzać poetę i poemat.

¹⁾ Op. cit. str. 99.

²⁾ Op. cit. str. 99—100.

Przypuszczać należy, że „Obleżenie“ nie jest jedynym naszego Paulina utworem, że wprawdzie już musiał rymami się parać, bo wyrobioną już jest jego technika poetycka. Zresztą, nie porzywałyby się chyba od pierwszego zamachu na taką pracę. Czy istniały jeszcze jakie inne utwory jego i czy istnieją jeszcze dotąd—pytanie godne odpowiedzi.

Co do formy w poemacie, to ta jest wcale poprawna, rymy szwankują rzadko i mimo tematu o Częstochowie nie tak bardzo są częstochowskie. Częsty jest niezwykły szyk wyrazów, jak to wogóle nieraz w naszej poezji XVII w. się zdarza np.: „Z słońca w utkanej promieniami szacie“—przypomina podobne wyrażenie u Tassa-Kochanowskiego: „z gwiazd nieśmiertelnych w uwitej koronie,“ albo „jakby na wozie złotookowanym, samej Fortunie usiadł zbudowanym“ i t. p. Porównań obszerniejszych ogółem niewiele. Często dla prawidłowej ilości zgłosek w wierszu—niezwykłe skróty np.: Stansława, Wrzeszczewca, frącmer. Język czysty, nie tak „skancerowany,“ jak w ascetykach Kochowskiego, tok jasny, nieupstrzony wymyślnymi stylistycznymi wykrętami, słownik niezbyt bogaty.

Pyszne są uwagi „z rączkami na marynesie,“ często w formie sentencji np.: „nie mają w niebie miejsca świeckie pieszczoty,“ „dobra otucha strach odejmuje,“ albo: „pobożnych ludzi krzywda Boska boli,“ „mało tam wstydu, gdzie oczy strzelają“; zbawienna i zachęcająca jest rada dla pobożnych niewiast „rączką“ ukazana: „Pocziwe matrony, wspomnijcie sobie, jakoście wiele dla niebieskiego Oblubieńca więcej umartwienia znosić powinny, przynamniej choć raz w Wielki Piątek podźcie boso do kościoła.“

Gdyby Chlebowski znał „Obleżenie Jasnej Góry,“ pisząc swą świetną rozprawę o wpływie przekładu „Gofreda“ na polską poezję,¹⁾ znalazłby tu najsilniejsze chyba oparcie dla udowodnienia wielkiego wpływu arcydzieła Tassa w przekładzie Kochanowskiego na gruncie polskim. Żaden zapewne z poetów XVII w. tak się „Gofredem“ nie przejął, żaden nie skorzystał zeń tyle. Skrzepił „Gofred“ mocno Muzę, opartą jedynie na „Gigantomachii“ i Koberzyckim, dał poecie naszemu wzór świetny jak epizodami treść istotną ożywiać i urozmaicać, wskazał jak tysiączne

¹⁾ Br. Chlebowski, „Przekład „Jerozolimy“ Tassa przez Piotra Kochanowskiego w stosunku do współczesnego stanu polskiej poezji i jej dalszego rozwoju.“ Ateneum, 1890, II.

są tony, którymi drga miłość, uczył subtelnego odczuwania przeróżnych jej odcieni. To też „poemata“ na wzór „Gofreda“ pisane stanowią niemal całą piękność „Oblężenia“ i one przedewszystkiem skupiają uwagę czytelnika. Nie naśladował tu autor ślepo „Gofreda,“ korzystał zeń dyskretnie.¹⁾ Dlatego też w „poematach“ nie trzymał się niewolniczo epizodów Tassa, ale swobodnie tworzył w jego stylu, ozdabiał całość utworu akordami własnej inwencji, ale w Tassowej, jeśli tak można powiedzieć, tonacji. W ten sposób przebiegł całą skalę miłosnych wzruszeń coraz czystszych, szlachetniejszych, opiewając grubą, zmysłową miłość Millera, rycerską Medarda ku Lidorze, serdeczną miłość małżeńską Amira i Lidory, oraz obojga Czarnieckich, uduchowioną już, zaziemską Horna i Krystyny, a wreszcie oczyszczoną z ziemskiego pyłu, uświęconą przez krew i jak lilie czystą miłość Lioby i Ludgierda.

Ze wszystkich też naśladowców „Gofreda“ w literaturze polskiej XVII w. był autor „Oblężenia“ chyba najszczęśliwszy. Nie poznał Potocki Wacław, że piękność włoskiego arcydzieła na epizodach przedewszystkiem polega, to też ubocznie jeno, dorywczo w swej „Wojnie“ z piękności jego korzystał,²⁾ przeciwnie, autor „Oblężenia“ w ogólnej już konstrukcyi utworu na Tassie się wzorował, wcielając miękkie, delikatne tony miłosnych epizodów w ponurą, choć podniosłą opowieść o zaciętych walkach pod murami Częstochowy — i podniósł przez to swój poemat ponad przeciętny poziom rymowanych kronik. Tem samem dał sobie świadectwo wrodzonego zmysłu artystycznego i dobrego smaku w wyborze wzoru.

Dlatego też uważam „Oblężenie“ za najbardziej dotąd wyrazisty objaw zaprzeczanego przez niektórych wpływu poematu Tassa na literaturę XVII w., a autora za najwybitniejszego ze znanych dotąd z tego stulecia epigonów Tassa-Kochanowskiego.

*

*

*

¹⁾ Wpływ Tassa musiał się oczywiście zaznaczyć w licznych reminiscencyach, które po części w przypisach zaznaczałem.

²⁾ R. Pollak, „Wojna Chocimska“ Potockiego a „Gofred“ Tassa w przekładzie Kochanowskiego.“ Bibl. Warsz., 1910, t. III.

Gdy „a posteriori“ rzucimy okiem na całość poematu—przedstawi się on nam jako pełen ruchu i różnaitości obraz, gdzie różnolite pierwiastki łączą się zgodnie; niema tu nużącej jednoznaczności barw i szczegółów, nie kronika to rymowana, ale utwór pisany przez autora, świadomego arkanów sztuki poetyckiej. W porównaniu z takim „Władysławem IV,“ „Wojną domową“ Twardowskiego lub nawet „Wojną Chocimską“ Potockiego—czyta się nasz poemat z większem zajęciem, jest od tych utworów w budowie bardziej przejrzysty; „poemata“ zręcznie wplecione urozmaicają całość bezwarunkowo żywiej i nastęrczają autorowi więcej sposobności do zainteresowania czytelnika, aniżeli np. satyryczne dygresye w „Wojnie Chocimskiej.“ Wydane drukiem „Oblężenie“ cieszyłoby się zapewne wielką poczytnością, bo też umiał poeta dobrać motywy interesujące współczesnego czytelnika, powiązać je w całość, przykuwającą jego uwagę aż do samego końca, pobudzić wyobraźnię, rozniecić zapał patryotyczny i narodową dumę, ale też w potrzebie i prawdą gorzką w oczy zaświecić. Władał piórem jak „rymarz“ zawołany, na rymy silić się nie potrzebował, słów mu nigdy nie brakło. Zbywa mu na dosadności i obrazowości wyrażen Potockiego, na nieprzebranem bogactwie obserwacyi autora „Ogrodu fraszek,“ ale chyba góruje nad nim poczuciem artystycznego smaku, zdolnością architektonicznego opracowania szczegółów i ruchliwością wyobraźni. Tamten talent wielki, ale surowy, jak nieobrobiona bryła drogocennego kruszcu, ten bezsprzecznie mniejszy, ale swoich zdolności bardziej świadomy, zdolny je umiejętnie wyzyskać. Jako talent epicki zapewne od Kochowskiego wybitniejszy, w lirycznych ustępach chyba śmiało może z nim iść w zawody, nie tak jak u Andrzeja Morsztyna wymuskaną i wyrafinowaną, ale bogatszą w tony, wszechstronniejszą jest jego poezya.

A gdy mu ból całego narodu stanie przed oczyma, gdy gorycz wzbierze w mocno kochającej Polskę piersi, to krwią serdeczną pulsują zwrotki poematu, drgają bólem wielkim i szlachetnym i staje przed nami już nie szlachcic-patryota, ale wolny od stanowych uprzedzeń Polak-obywatel, co zdaje sobie dobrze sprawę ze społecznych krzywd, co nie ze stanowiska szlacheckiej wyłączoneści o sprawach dobra pospolitego wyrokuje, ale nad szczęściem całego narodu przemyśliwa, co nie apoteozuje złotej wolności ani jej źrenicy, ale widzi jasno, że nierząd ginie Polska i krzywdą społeczną.

Wśród nielicznej garstki prawdziwych poetów-obywateli w tym wieku — nie jest nasz autor zapewne ostatnim. Strofy,

w których dobył z siebie wewnętrzny swój ból nad krzywdą narodu, są prawdziwie natchnione, należą do najsilniejszych w całym utworze.

Nie wahałbym się też z wielu względów zaliczyć autora „Oblężenia“ do naczelnych poetów XVII w.

Jensen tak się o poecie i jego utworze wyraża: „Baliński odmawia anonimowemu poecie oryginalnego talentu, przyznaje mu jednak fantazyę, a nawet niekiedy natchnienie. Sąd taki wydaje mi się nieco za surowy. Pomiedzy humanizmem XVI w. a romantyzmem XIX zajmuje ten epos odrębne miejsce w polskiej literaturze, jako bezpośredni objaw włoskiej epiki na gruncie narodowym i wydaje mi się godniejszym druku, niż wiele innych polskich poematów współczesnych i późniejszych.“¹⁾

Tak więc „Oblężenie“ jest chyba jeszcze jednym więcej argumentem, że literatura w drugiej połowie XVII w. nie znajdowała się jeszcze w okresie zupełnego upadku, zaniku zmysłu estetycznego, zraty wrażliwości na piękno arcydzieł obcej literatury.

To też dziwić się doprawdy trzeba, że bliższej uwagi dotąd „Oblężeniu“ nie poświęcono, choć leżało niemal pod ręką w zbiorach Bibl. Jagiellońskiej. Nie miał szczęścia autor, lubo poemat swój starannie do opublikowania przygotował, sądząc, mylnie, że znajdzie się przecie ktoś, co „Oblężenie“ drukiem ogłosi.

Tyle uniem na razie powiedzieć o utworze samym i o twórcy jego. Myślę jednak, że to nie będzie za mało, żeby się poematem zainteresować i przyczynić do wydobycia go nareszcie z zapomnienia, bo z wielu względów na to istotnie zasługuje.

ROMAN POLLAK.

¹⁾ Op. cit. str. 100.

F
8043